

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**WILLIAM MAKEPEACE  
THACKERAY**

**PIERŚCIEŃ I RÓŻA  
CZYLI  
HISTORIA LULEJKI I BULBY**

**PANTOMIMA PRZY KOMINKU  
DLA DUŻYCH I MAŁYCH DZIECI**

Tower Press 2000

*Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

### *W którym jest pięknie opowiedziane, jak dostojna rodzina królewska zabawiła się przy śniadaniu*

Oto raczył zasiąść do stołu Walorozo XXIV władca Paflagonii, w towarzystwie swej królewskiej małżonki i królewskiej jedynaczki Angeliki. Właśnie oddano mu list zapowiadający rychłe odwiedziny królewicza Bulby, pierworodnego syna i następcy tronu króla Padelli I, rządzącego miłościwie w państwie Krymtataria. Spójrzcie, jakim zachwytem opromienione jest oblicze Jego Królewskiej Mości. Odczytywanie listu króla Padelli tak dalece pochłania jego uwagę, że nie widzi nawet szeregu dostojnych jaj na miękko i jaśnie oświeconych bułeczek leżących przed nim na stole.

– Bulbo przyjeżdża! Ów zuchwały, dzielny, rozkoszny Bulbo! – wykrzyknęła radośnie księżniczka. – Taki przystojny, wytworny i dowcipny! Mężny zdobywca państwa Rimbombamento, który w walnym starciu własną ręką położył trupem dziesięć tysięcy olbrzymów!

– A tobie kto o tym opowiadał, moja duszko? – zapytał Jego Królewska Mość.

– Mój mały paluszek – odparła figlarnie Angelika.

– Biedny Lulejka! – westchnęła królowa zagryzając herbatę biszkopcikiem.

– Ach, ten Lulejka! – zaśmiała się księżniczka i lekceważąco odrzuciła w tył głowę, zdobną w tysiące najmisterniej zakręconych papilotów.

– Chciałbym, żeby tego Lulejkę raz już już dia... – zaczął król, ale królowa przerwała mu szybko:

– Chciałbyś zapewne, żeby jak najprędzej wyzdrowiał. Otóż, najdroższy, już mu znacznie lepiej. Napomknęła mi o tym Rózia, służebna Angeliki, kiedy mi dziś z rana przyniosła do łóżka herbatę.

– Wiecznie tylko pijecie tę herbatę! – zachnął się niecierpliwie monarcha.

– Lepiej pić herbatę niż wino i wódkę – powiedziała dobitnie Jej Królewska Mość.

– No, no, kochanko, ja przecież także pijam czasem herbatę – wyrzekł pojednawczo władca Paflagonii usiłując pokryć uśmiechem niemiłe wrażenie, jakie na nim zrobiły słowa królowej. – Angeliko – przeszedł szybko na inny temat – sędzę z kilkometrowych rachunków twojej krawcowej, że nie zbywa ci na pięknych toaletach, w których się godnie zaprezentujesz naszemu gościowi. Musicie obie z matką pomyśleć o urządzeniu jak najwspanialszego przyjęcia. Pewnie zechcecie urządzić kilka rautów i balów. Ja bo zawsze byłbym raczej za porządną królewską ucztą, ale każdy ma inny gust. Prosiłbym cię też, duszko – tu zwrócił się do królowej – żebyś raz już przestała nosić tę odwieczną suknię z niebieskiego aksamitu, w której od pięciu lat widuję cię na wszystkich audiencjach. Kup sobie także nowy naszyjnik, tylko niedrogi, ot tak, za jakieś sto, sto pięćdziesiąt tysięcy dukatów.

– A Lulejka, najdroższy?

– Lulejka? A niechże idzie do dia...

– Ależ, mężu! Królu! – krzyknęła Jej Królewska Mość – przecież to twój bratanek! Jedyny syn nieboszczyka króla!

– Więc niechże idzie do... krawca i zamówi sobie nowe ubranie. Każ Mrukiozie wpisać jego rachunek na koszt państwa. A niechże go Bóg skarże... to jest, chcę powiedzieć: niech go Pan Bóg kocha, tego lubego Lulejkę! Niech mu tam zresztą Mrukiozo dołoży parę dukatów

na drobne wydatki. A jak pojedziesz po naszyjnik, wybierz sobie przy tej okazji i parę bransolet, moja Jejmość Pani Walorozo!

Jej Królewska Mość, czyli Jejmość Pani Walorozo, jak ją żartobliwie nazwał monarcha, bo i królowie w zamkniętym kółku rodzinnym lubią czasem pożartować, uścisnęła swego małżonka i objąwszy wespół córkę (członkowie dostojnej tej rodziny kochali się nader czule) opuściła z nią salę jadalną, żeby wydać rozporządzenia na przyjęcie zagranicznego gościa.

Ledwie podwoje zamknęły się za królową, zgasł uśmiech rozchylający wargi monarchy, zgasła duma bijąca z królewskiego czoła. W czterech ścianach jadalnej sali król Walorozo pozostał sam – a gdy królowie są sami, zaraz czują dobrze, że nie różnią się niczym a niczym od zwykłych, najzwykleszych śmiertelników.

Gdybym miał pióro słynnego poety Bombastiniego, pokusiłbym się może o uczczenie w rymowanej mowie zmarszczki fałdującej dostojne czoło monarchy, opiewałbym jego błyszczące oczy, jego długi czerwony nos, jego szlafrok kwiecisty, zatabaczoną chustkę do nosa i wyszywane perełkami pantofle. Nie czując się jednak na siłach, bym dorównać mógł w opisach moich temu poecie, poprzestaję na krótkim stwierdzeniu, że Walorozo pozostał sam.

Przez chwilę nasłuchiwał, czy kroki królowej ucichły, po czym schwycił ze stołu jeden ze srebrnych kieliszków do jajek, wyrzucił zeń jajo, chyłkiem podsunął się do kredensu, wyjął flaszkę gdańskiej wódki, nalał kieliszek po brzegi i wychylił go duszkiem. Powtórzywszy to kilka razy, zaśmiał się do siebie i zamruczał z lubością: – Ha! Ha! Teraz dopiero Walorozo jest prawdziwym mężem! – Pociągnął znowu tęgi łyk i mówił dalej: – Hej, hej, zanim dostałem się na tron królewski, nie znałem nawet smaku tego upajającego trunku. Po prostu wstręt czułem do niego i woda źródłana była mi jedynym napojem. W tanecznych płasach spływał potok ze skał, a ja z rusznicą biegłem w leśny mrok, stopami strząsałem rosę z rdzawych mchów, szukając śladów jeleni i łań. Ale, jak prawdziwe są te wieszczę słowa:

*Królewskiej głowie zbyt ciężki korona...*

Lecz skoro już ją skradłem bratankowi... skradłem? Co mówię! Gdzieżbym znowu ukradł, cofam to wstrętne, nienawistne słowo! Nie, nie, nie skradłem, jeno na swą męską głowę włożyłem świetną królewską koronę. I odtąd jabłko piastuję jedną dłonią, a paflagońskie berło dzierżę drugą. Bo czyżby słaba, bezbronna dziecina, ledwie od piersi mamki odstawiona, karmiona cukrem i papką na mleku, rządowi państwa tego podołała? Jakoż dźwignęłaby berło, koronę, jabłko i ojców ciężki miecz stalowy, broniący srogim władcom Krymtatarii wstępu w granicę państwa Paflagonii?

W ten sposób usiłował monarcha udowodnić (choć samo się przez się rozumie, że nierymowane wiersze niczego jeszcze nie dowodzą), że najświętszym obowiązkiem jego jest: mocno w dłoni dzierżyć, co raz w nią zagarnął. I teraz wprawdzie nasuwała mu się natrętna myśl, że należałoby może zwrócić bratankowi bezprawnie zagrabione dziedzictwo, ale Jego Królewska Mość w lot uspokoił sumienie nadzieją, jaką pokładał w projektowanym małżeństwie córki swej z następcą tronu Krymtatarii. Stanowczo dobro państwa wymagało pokojowego zakończenia krwawych wojen z niebezpiecznym sąsiadem. – Gdyby nawet nieboszczyk brat mój, król Seriozo, powstał z grobu, przyklasnąłby zapewne tak świetnemu związkowi i wydziedziczył tego niezdarnego Lulejkę – zamruczał pod nosem król. Zwykle wyobrażamy sobie, że najśluszniesze jest to, co najbardziej nam samym dogadza, więc też i król zaraz nabrał otuchy, przeczytał dzienniki, zjadł ze smakiem jaja na miękko i maślane bułeczki, a potem zadzwonił po swego ministra.

Królowa zastanawiała się przez chwilę, czy nie należałoby odwiedzić chorego bratanka. Ale zaraz powiedziała sobie: – Najpierw obowiązek, potem przyjemność. Po południu wpadnę na momencik do tego biedaka, a teraz pojedę do złotnika wybrać naszyjnik i bransolety. – I tak też zrobiła.

Królewna Angelika, wróciwszy do swoich apartamentów, zadzwoniła na służebną Rózię i kazała wydobyć z szaf i kufrów wszystkie najzbytowniejsze stroje, po czym zaczęła je przymierzać. O królewiczu Lulejce zapomniała najzupełniej, tak jak ja zapomniałem, co jadłem na obiad we czwartek ubiegłego roku.

## ROZDZIAŁ DRUGI

### *Jak książę Lulejka nie dostał nic, a Walorozo koronę*

Zdaje się, że w owych czasach, tj. przed dziesięciu czy dwudziestu tysiącami lat, dziedzictwo tronu, przechodząc z ojca na syna, nie było w Paflagonii prawem państwowym zabezpieczone. Król Seriozo, czując zbliżający się koniec, zawezwał do śmiertelnego łoża brata swego Walorozę i przekazawszy mu opiekę nad małym synaczkiem Lulejką mianował go regentem Paflagonii na czas nieletności królewicza. Wiarołomny Walorozo zdradził położone w nim zaufanie, bo ledwie wieko trumny zamknęło się nad zwłokami króla Seriozy, kazał się obwołać królem Paflagonii pod imieniem Walorozy XXIV, po czym odbyła się uroczysta koronacja. Magnaci i szlachta w owych czasach mieli tylko własne dobro na widoku, a suto ugoszczeni przez Walorozę i obdarzeni najzyskowniejszymi urzędami chętnie przyzwolili na bezprawną zmianę w następstwie tronu. Ludowi zaś, pogrążonemu w ciemnocie i ucisku, było zupełnie obojętne, kto w państwie rządzi, bo i tak nie spodziewał się rychłej poprawy swego losu. W chwili zgonu króla Seriozy królewicz Lulejka był niemowlęciem w powijakach, któremu nie śniło się nawet, że stryj rodzony pozbawił go prawego dziedzictwa. Gdy podrósł, dbał tylko o to, by mu dawano pod dostatkiem zabawek i słodczy, żeby na siedem dni w tygodniu miał przynajmniej pięć wolnych od nauki, żeby mu nie broniono spędzać połowy dnia na koniu, z fuzijką na plecach, a drugiej połowy na zabawie z ukochaną kuzyneczką Angeliką. W jej towarzystwie czuł się Lulejka zupełnie szczęśliwy i nie zazdrościł stryjowi ani uroczystej królewskiej szaty, ani złotego, niewygodnego tronu królewskiego, ani okropnie ciężkiej, wysadzanej klejnotami korony, w której władca Paflagonii obowiązany był ukazywać się zawsze swoim poddanym.

Portret króla Walorozy XXIV zachował się do dni dzisiejszych. Zapewne i wy przyznacie, że Jego Królewska Mość musiał być nieraz dobrze zmęczony dźwiganiem tych aksamitów, brylantów i gronostajów i znudzony tym królewskim przepychem. Co do mnie, to wołałbym nigdy nie zasiadać w tak przytłaczającym stroju, a do tego w takim czymś na głowie.

Królowa musiała być za młodu miłą, przystojną dziewczeczką, bo i w późniejszym wieku, choć kształty jej, jak to widzicie na obrazku, rozwinęły się trochę za bujnie, rysy jej twarzy zachowały wyraz pogodnej dobroduszości. Może trochę zanadto lubiła ploteczki, stroje, pochlebstwa i grę w karty, ale pomińmy te słabostki, które w gruncie rzeczy niewiele robiły złego. Bratanka swego lubiła serdecznie, więc nieraz czuła wyrzuty sumienia, które uspokajała myślą, że wprawdzie mąż jej pozbawił Lulejkę dziedzictwa, lecz niemniej jest mężem godnym czci i szacunku, a ponieważ po jego śmierci ster rządów i tak przejdzie w ręce Lulejki, więc nie ma czym tak dalece głowy sobie zaprzętać. Szczerym pragnieniem jej było, by Lulejka pojął za żonę Angelikę, w której kochał się bez pamięci.

Pierwszym ministrem państwa był wytrawny mąż stanu, Mrukiozo; w jego to ręce złożył monarcha wszystkie sprawy królestwa Paflagonii. Walorozo uważał się za bardzo dobrego króla. Wymagał tylko, by mu nie szczędzono pochlebstw, by mu dostarczano jak największej ilości pieniędzy, które by mógł wydawać na uczyty i polowania, i by odsuwano od niego wszelkie troski i kłopoty. Dbając jedynie o swoją przyjemność, nie pytał, ile za to płacą jego poddani. Ich losy były mu najzupełniej obojętne.

Swojego czasu próbował kilka razy szczęścia w wojnie i stoczył wiele bitew, ale wszystkie przegrał. Mimo to wszystkie dzienniki paflagońskie głośiły przez długie lata chwałę jego świetnych zwycięstw. W każdym mieście wzniesiono „z najwyższego rozkazu” na jego cześć bodaj jeden pomnik, portret jego ozdabiał wszystkie wystawy składów papieru. Dawano królowi przydomki: Walorozo Chrobry, Walorozo Wielki, Walorozo Niezwyciężony, bo i w owych dawnych czasach dworacy i poddani umieli zaskarbiać sobie łaski monarchy przez pochlebstwa.

Jedynym dzieckiem królewskiej pary była księżniczka Angelika. W przekonaniu dworaków, rodziców i własnym była oczywiście uosobieniem doskonałości. Opowiadano, że ma najdłuższe włosy, największe oczy, najsmuklejszą figurę, najmniejsze stopy i najdelikatniejszą płeć ze wszystkich dziewcząt państwa Paflagonii. Głoszono również, że wiedza jej i talenty przewyższają jeszcze jej urodę. Wszystkie guwernantki i bony, karcąc skłonność do lenistwa u swoich uczennic, stawiały im księżniczkę Angelikę za przykład. Bezbłędnie grywała najtrudniejsze utwory muzyczne. Umiała odpowiedzieć bez omyłki na każde pytanie z książki pt. *Przepisy dobrego tonu dla użytku pańien z wyższego towarzystwa w ośmiu tysiącach pytań i odpowiedzi*. Znała na pamięć wszystkie daty z historii Paflagonii i wszystkich krajów całego świata. Mówiła po polsku, po francusku, po angielsku, po włosku, po niemiecku i po hiszpańsku, hebrajsku, grecku, łacinie, samotracku, kapadocku, egejsku i krymtatarsku. Słowem, była młodą osobą gruntownie wykształconą, godną uczennicą swej wychowawczyni i ochmistrzyńni dworu, srogiej hrabiny Gburii-Furii.

Zapewne sądzicie patrząc na ten obrazek, że dama ta pochodziła z wysokiego rodu? Chód jej bowiem i postawa są tak dumne, jak gdyby była co najmniej księżniczką krwi, której drzewo genealogiczne sięga jeszcze czasów przedpotopowych. Jednakże przypuszczenie to byłoby mylne. Imć pani Gburia-Furia pochodziła z gminu, a że bardzo się tego wstydziła, więc coraz wyżej zadzieriała nosa. Wszyscy rozsądni ludzie śmiali się jednak cichaczem z jej wynoszenia się nad innych. Wiedzieli, że Gburia-Furia była za czasów pańieńskich gardero-bianą królowej, a mąż jej dworskim lokajem. Ale po śmierci czy też po nagłym zniknięciu małżonka swego Gburiana (o którym później dowiemy się ciekawych rzeczy) Imć Gburia-Furia umiała się tak przypodobać królowej, tak wkraść się w jej łaski nieustannym płaszczaniem się i pochlebstwami, że w końcu królowa nadała jej hrabiowski tytuł, godność ochmistrzyńni dworu i poruciła jej wychowanie córki swej Angeliki.

Muszę jeszcze raz wrócić do wiedzy i talentów nadzwyczajnych, które, jak mówiono, posiadała księżniczka. Otóż, prawdę mówiąc, sprytu nie brakowało jej wcale, za to była leniwa do ostatnich granic. Odczytywanie nut... A któż by nawet próbował trudzić się takim nudziarstwem! Umiała grać z pamięci dwa czy trzy kawałeczki i zapewniała, że nigdy przedtem nie widziała ich na oczy. Umiała odpowiedzieć może na pół tuzina pytań z *Przepisów dobrego tonu dla pańien z wyższego towarzystwa*, i to, o ile pytania zadawano jej po kolei, a nie na wrywki. Miała też nauczycieli wszystkich światowych języków, nie sądzę jednak żeby z któregośkolwiek umiała więcej niż kilka frazesów. A już co się tyczy jej rysunków i robótek, wystawiano wprawdzie bardzo piękne okazy podpisywane jej imieniem, ale czy były one przez nią robione? – to właśnie pytanie. Chcę wam wyjaśnić całą prawdę pod tym względem, ale aby to zrobić, muszę sięgnąć pamięcią w odległą przeszłość i opowiedzieć wam o Czarnej Wróżce.



## ROZDZIAŁ TRZECI

### *Który zaznajamia czytelnika z Czarną Wróżką i z wieloma innymi wielkimi osobistościami*

Czarna Wróżka żyła na pograniczu Królestwa Paflagońskiego i sąsiadującego z nim państwa Krymtarii. Miano „Czarnej Wróżki” nadano tej tajemniczej istocie z powodu czarnoksięskiej, cudownej hebanowej laseczki, której dosiadała jak rumaka, ilekroć udawała się na księżyc albo w podróż dla przyjemności lub interesu. Laseczka ta służyła jej również do wykonywania najróżniejszych sztuk czarodziejskich. W wiedzy czarnoksięskiej wykształcił Czarną Wróżkę ojciec jej, słynny czarownik. Po jego śmierci Czarna Wróżka ćwiczyła się przez długie lata w swym zawodzie, z szumem przelatując na czarnej laseczce z jednego państwa do drugiego i rozdając swoje cudowne upominki to temu, to innemu księciu czy królowi. Miała całe tuziny chrześniaków, przemieniła niezliczoną liczbę złych ludzi w zwierzęta, ptaki, kamienie młyńskie, zegary ścienne, pompy, parasole, wciągacze butów i różne inne pożyteczne przedmioty, słowem, nie było pracowitszej i usłużniejszej wróżki w całym czarnoksięskim bractwie.

Ale po jakichś dwu czy trzech tysiącach lat praca ta zaczęła ją nużyć. Myślała często: „Ciekawam, co komu przyjdzie z tego, że jakąś księżniczkę pogrążę w stuletni sen, że jakiemuś głupiemu dziewczęciu przycępię kiszkę do nosa, że na mój rozkaz biednej sierotce wypadać będą z ust perły i diamenty, a córce macochy ropuchy i zmije? Wszystkie moje trudy i starania przynoszą zawsze tyleż szkody, co i dobra. Wobec takich wyników warto by dać spokój studiom nad sztuką magiczną i pozostawić wszystko własnemu biegowi rzeczy. Np. moje chrześniaczki: żona króla Seriozy i małżonka księcia Padelli. Czy wyświadczyłam im rzetelne dobrodziejstwo? Każdej z nich ofiarowałam podarunek, który miał im zapewnić dożgonną miłość i uwielbienie ich małżonków. Czyż jednak mój cudowny pierścień i moja czarowana róża przyniosły im jaką korzyść? Wręcz przeciwnie. Dzięki temu, że rozkochani w nich mężowie spełniali każdy ich kaprys, obie stały się obraźliwe, leniwe i zarozumiałe do niemożliwości. Przez całe życie przewracały tylko oczami i wyobrażały sobie, że są ósmym cudem świata, nawet wówczas, kiedy naprawdę były już brzydkie i stare. Ha! ha! Pocieszne stworzenia! I jakżeż obesły się ze mną w czasie ostatnich moich odwiedzin, ze mną, Czarną Wróżką, ze mną, która zgłębiłam wszystkie tajemnice sztuki czarnoksięskiej, ze mną, która jednym dotknięciem swej laseczki mogłam je przemienić w pawiany, a perły ich w wieńce cebuli i czosnku!”

Pewnego dnia rozgoryczenie wróżki wzrosło do tego stopnia, że z hałasem zamknęła swoje książki w szafie i odtąd zaprzestała wszelkich sztuk czarodziejskich, a swojej różdżki używała tylko jako zwyczajnej laski.

Kiedy żona księcia Padelli powiła synka (w owym czasie Padella był tylko jednym ze znaczniejszych panów w Krymtarii), Czarna Wróżka nie pojawiła się na chrzcinach, pomimo że była na uroczystość tę zaproszona, przysłała tylko w upominku skromną srebrną ryneczkę, wartości najwyżej dwóch dukatów. W tym samym czasie królowa Paflagonii wydała także na świat syna, z upragnieniem oczekiwanego spadkobiercę paflagońskiej korony. Radosną wieść tę rozniosły po kraju wystrzały armatnie; miasto iluminowano uroczyście i nie było końca zabawom i ucztom wydawanym ku uczczeniu narodzin królewicza. Wszyscy sądzili, że

Czarna Wróżka, którą zaproszono w kumy, ofiaruje swemu chrześniakowi przynajmniej czapkę-niewidkę, siwka złotogrzywka, bułkę niedojadkę lub jakiś inny wartościowy podarunek, świadczący o jej łasce i dobrym smaku. Ale gdy wszyscy podziwiali noworodka i składali powinszowania matce i ojcu, wróżka, pochyliwszy się nad małym królewiczem Lulejką, rzekła tylko: – Moje biedne maleństwo, nie mogę ci ofiarować cenniejszego upominku nad odrobinę cierpienia.

To było wszystko, co powiedziała, ku oburzeniu rodziców Lulejki. A gdy wkrótce potem rodzice ci umarli, zaopiekował się Lulejką stryj jego Walorozo, a w jaki sposób, o tym dowiedzieliście się w drugim rozdziale.

I znowu w kilka lat później święcono chrzciny maleńkiej Różyczki, jedyne dziecko króla Kalafiore, panującego w sąsiednim państwie Krymtatarii. I tutaj zaproszono Czarną Wróżkę. Ona jednak i tym razem nie okazała się nazbyt hojna. Gdy dworacy rozplywali się w zachwytach nad niepospolitą urodą dziewczeczki, smutnym wzrokiem popatrzyła na królową i rzekła: – Moja kochanko – (Czarna Wróżka z nikogo sobie nic nie robiła i do królowej przemawiała bez żadnych ceremonii, jakby mówiła do pierwszej lepszej praczki) – moja kochanko, ci sami ludzie, którzy w tej chwili plackiem u nóg twych leżą, uknują spisek przeciw tobie. Co zaś do tej maleńkiej, nie mogę jej ofiarować nic cenniejszego nad odrobinę cierpienia.

To rzekłszy, leciutko dotknęła czoła Różyczki czarnoksiężką pałeczką, surowym spojrzeniem objęła przerażonych dworaków, skinęła królowej ręką na pożegnanie, dosiadła czarnej laseczki i przez otwarte okno poszybowała w błękity.

Zaledwie znikła z oczu, dworacy, którzy w jej obecności nie śmieli pary z ust wypuścić, podnieśli wielką wrzawę; wołali jeden przez drugiego, że Czarna Wróżka nie jest dobroczynną wróżką, za jaką miano ją dotychczas, tylko niepocziwą, szkodliwą czarownicą, którą należałoby spalić na stosie. Wszakżeż była obecna na chrzcinach królewicza Lulejki, a ledwo rodzice pomarli, stryj Walorozo strącił jej chrześniaka z tronu. Nic innego, tylko z wiekiem straciła zdolność jasnowidzenia i czarów. Bo czyż nie śmieszne jest przypuszczenie, że znalazłby się człowiek tak twardego serca, żeby mógł być wrogo usposobiony do królowej i najśrodszej, najrozkoszniejszej królowny Różyczki? A gdyby nawet znalazł się jakiś zdrajca, czyż król i królowa nie mieli obrońców w wiernych swoich poddanych? Hańba, hańba czarownicy i jej złowrogim wróżbom! I wszyscy chórem zaczęli wołać: „Hańba!”

A teraz może chcielibyście wiedzieć, w jaki sposób dworacy owi okazali swoją wierność i przywiązanie królewskiej parze? W kilka dni później księżę Padella, o którym wspomnieliśmy już powyżej, odmówił złożenia hołdu królowi Kalafiore, który na czele wojska pospieszył ukarać buntownika. – Któż by się odważył czoło stawić naszemu ukochanemu, wspaniałemu monarsze?! – wołali dworacy. – Najjaśniejszy Pan nasz jest niezwyciężony. Maluczko, a ujrzymy, jak pokonanego Padellę przywiąże do ośle go na i miłościwie rozkaże włączyć go po ulicach miasta, na wieczną pamiątkę zwycięstwa Kalafiore Wielkiego nad nędznym buntownikiem!

Król zatem wyruszył w pole, a biedna królowa, jako że była istotą trwożliwego serca, tak się przejęła pierwszymi odgłosami wojennymi, że – z żalem muszę wam powiedzieć – rozchorowała się i po paru dniach umarła. Przed samą śmiercią przywołała wszystkie damy dworu i kazała im przysiąc, że strzec będą jak oka w głowie maleńkiej Różyczki. Naturalnie wszystkie oświadczyły, że wołałyby dać się posiekać w kawałki aniżeli dopuścić, by ukochanej królownie stała się najmniejsza krzywda. Pierwszy numer urzędowej „Gazety Dworu J. M. Króla Krymtatarii” przyniósł wieść, że Jego Królewska Mość odniósł świetne zwycięstwo nad zuchwałym buntownikiem; następny, że wojsko nikczemnego Padelli zostało w puch rozbite; jeszcze późniejszy, że armia królewska ściga niedobitków wojsk nieprzyjacielskich; a ostatni... no, w ostatnim ogłoszono urzędowo, że król Kalafiore został pobity na głowę i zginął z ręki Jego Królewskiej Mości Padelli I.

Ledwie nadeszła wiadomość o tej porażce i przywłaszczeniu sobie przez Padellę korony, a już jedna część dworaków pognąła naprzeciw wjeżdżającego w triumfie zwycięzcy, żeby oddać mu cześć i zapewnić o dozgonnej wierności, druga zaś czmychnęła, gdzie pieprz rośnie, uprzątnąwszy wpiery z królewskiego pałacu wszystko, cokolwiek się zeń zabrać dało. W olbrzymich komnatach została tylko małeńka Różyczka, sama, samiuteńka, bez żywej duszy, która by się o nią zatroszczyła. Dreptała drobnymi nóżkami z jednej komnaty do drugiej i wołała żałośnie: – Hrabino! Księżno Pani! – co w jej dziecinnym spieszczeniu brzmiało: – Dlabino! Tsiężno Pani! Zalaz podać tulcę z tompotem! Moja Tlólwsta Mość cię papać! Dlabino, Tsiężno Pani! – I biegło biedactwo przez szeregi krużganków i komnat, aż wpadło do sali koronacyjnej. Ale nie było tu żywej duszy. Potem zajrzało do sali paziów, i tu nie było nikogo. Raczkując zsunęła się ze schodów aż do przedsionka pałacowego, ale wszędzie było pusto i głucho. Więc podreptała dalej jeszcze, aż na podwórze i do ogrodu pałacowego, potem w park zdziczały, i dalej jeszcze, coraz dalej, aż w puszcę leśną, w której żyło dużo dzikich zwierząt.

Słuch wszelki o niej zaginął.

A gdy niedługo potem Padella, uznany już przez wszystkich i koronowany król Krymtatarii, zabił na polowaniu dwa młode, nie wyrosnięte jeszcze dobrze lwy, znaleziono w ich paszczach resztki potarganego płaszcza i trzewiczek biednej królowy Różyczki. Służba myśliwska pokazała królowi te małe, smutne szczątki wyjęte z zakrwawionych paszcz dzikich bestii leśnych, a Padella pokiwał głową; wiedział już teraz, że jest naprawdę królem i że bez troski sprawować może rządy w Krymtatarii: – Ot, jaki los spotkał małą księżniczkę! – wykrzyknął. – Hm moi panowie, trudno, co się stało, już się nie odstanie. Chodźmy na przekąskę! – I cały orszak ruszył z królem na śniadanie. Jeden z dworzaków schylił się i niepostrzeżenie schował znaleziony trzewiczek księżniczki do kieszeni. To było wszystko, co po niej zostało.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

### *Jak to nie zaproszono Czarnej Wróżki na chrzest Angeliki i kto na tym wyszedł najgorzej*

Dwadzieścia lat przed rozpoczęciem naszej powieści – kiedy obchodzono urodziny i chrzest księżniczki Angeliki, z którą zapoznaliśmy się w pierwszym rozdziale – zdarzył się wypadek, o którym nikt nie wiedział w Paflagonii – a szkoda, bo był bardzo a bardzo ciekawy. Król i królowa (podówczas jeszcze książę i księżna) nie zaprosili wcale Czarnej Wróżki na uroczyste chrzciny – ba! wydali nawet rozkaz odźwiernemu pałacowi, aby pod żadnym warunkiem wróżki do książęcego domu nie wpuszczał. Ów odźwierny zwał się Gburiano. Był to ogromny, nieokrzesany drab – zły i oburkliwy. Może właśnie dlatego Ich Książęce Moście mianowały go pierwszym odźwiernym pałacowi? Trzeba było widzieć Gburiana, jak odprawiał niepożądanych gości, zwłaszcza różnych dostawców dworu z nie zapłaconymi rachunkami! Jak huknął swoim gburowatym głosem: „Nie ma nikogo w domu!”, to aż ściany drżały, a ludzie umykali czym prędzej. Był on mężem owej pięknej hrabiny Gburii-Furii, której opisem zachwycaliśmy się przed chwilą. Klócił się z nią bez ustanku od rana do nocy. Ale „przyszła kryska na Matyska”, jak to zaraz zobaczymy.

Czarna Wróżka – choć nieproszona – zjawiła się przed drzwiami pałacowi. Przez otwarte okna salonu widać było księcia i księżnę w otoczeniu dworu. Gburiano wiedział o tym, oświadczył jednak wróżce tonem cierpkim i opryskliwym, że „Ich Książęcych Mości nie ma w pałacowi”. Równocześnie zagrał jej fujarkę na nosie i zrobił ruch, jakby chciał Czarną Wróżkę za drzwi wypchnąć. – Wynoś się stąd czym prędzej, stara czarownico! – wrzasnął. – Dla takich jak ty nie ma Jaśnie Państwa w domu. – To powiedziawszy wszedł do sieni i pchnął drzwi z hałasem, ale Czarna Wróżka wetknęła między zawiasy swoją laseczkę i drzwi nie chciały się domknąć. Gburiano wpadł w straszny gniew. Wybiegł na dwór i wyrzucił z siebie cały potok wściekłych i bardzo szkaradnych przekleństw. – Cóż ty sobie myślisz – wykrzykiwał dławiąc się z wściekłości – że ja od tego jestem odźwiernym, żebym ciągle przy drzwiach wartać musiał! Zamknij mi zaraz drzwi! Nie chce mi się stać tutaj dłużej! Słyszysz? – A na to Czarna Wróżka uczyniła tylko jeden majestatyczny ruch ręką i wyrzekła spokojnie:

Będziesz w drzwiach tych ciągle tkwił,  
Krzycz, Gburiano – krzycz co sił.  
Tkwij tu! Moja każe Moc,  
Noc i dzień, i – dzień i noc!

– Aa! Aa! A to co znowu? Hee – ojej! Ojej – gwałtu! – puść mnie! Ooo! Uh! uh! – darł się Gburiano jak opętany – aż naraz ucichł... Grube łydki, ogromne, niezgrabne łapy i wspaniały korpus odźwiernego Ich Książęcych Mości nikły pod podniesioną laseczką wróżki. Gburiano uczył, że ziemia usuwa mu się spod stóp, że całe ciało skręca mu straszliwy kurcz, że jakaś śruba wpija się w jego wnętrze, i nagle, jakby piekielnym kołowrotem porwany i zwinięty, zawisł i utkwiał... w drzwiach. Ręce zwiędły i podwinęły się w górę, nogi – słynne, wspaniałe nogi – ściągnęły się kurczowo w małe, biedne, wyschnięte nóżki i zawisły zrosnięte pod

wielkim włochatym łbem, a ciało nieszczęsnego lokaja przeniknął zimny, ostry dreszcz. – O – ooo! Hm! – mruknęła jeszcze wielka głowa, zimna – zimna, jakby była z metalu – i ucichło wszystko.

Gburiano przedzierzgnął się w wielką metalową rączkę od dzwonka w tych samych drzwiach, których tak niegrzecznie, tak grubiańsko pilnował. Człowiek o sercu zimnym jak żelazo – zamienił się w żelazną rączkę od dzwonka i dzwonił – dzwonił – dzwonił... zębami z zimna.

Wisiał przybity mocno, mocno do drzwi i marzył, marzył tak, że w czasie długich zimowych nocy sople lodu zwisały z jego żelaznego, potężnego nosa. A gdy przyszło lato i gorące, upalne dni – wielki, wspaniały nos rozgrzewał się pod żarem słońca i piekł okropnie. Nie dość tego. Pierwszy lepszy listonosz, pierwszy lepszy chłopak odnoszący do pałacu listy lub przesyłki targał bez litości za wielką rączkę od dzwonka.

A gdy księżę z księżną małżonką wracali do domu z przechadzki, księżę zauważył zmianę, jaka zaszła w bramie. – Patrz – zwrócił się do swej żony – założono nową rączkę do dzwonka. Ciekawa rzecz, ta głowa przypomina mi rysy naszego odźwiernego! Znowu go nie ma w bramie, tego wiecznie podpitego włóczykija!

Innym razem zajęła się nową rączką od dzwonka posługaczka pałacowa. Przyszła i szorowała nos Gburiana piaskiem i popiołem długo, długo, póki nie zaczął się pięknie świecić i błyszczeć w promieniach słońca. A gdy przyszła na świat mała siostrzyczka Angeliki, obwiązano żelazną głowę starą ścierką mocno, bardzo mocno. Raz znowu w nocy podochoceni przechodnie zapragnęli zemścić się na nieznośnej głowie, która na nich wybałuszała szkaradne ślepie, i pokiereszowali łeb Gburiana porządnie scyzorykami i laskami. Wreszcie księżna kazała pewnego razu całe drzwi przemalować. Malarze smarowali brzydką, kleistą i cuchnącą farbą całą głowę – szast-prast po nosie, po oczach, po ustach, aż umalowali ją całkiem na kolor jasnozielony.

Wierzajcie mi, Gburiano miał za swoje! Żałował też nieraz gorzko, że tak brzydko dawniej postępował, że tak ciężko obraził Czarną Wróżkę. W pałacu nikt się o jego zniknięcie nie zatroszczył, własna jego żona ani zapytała o niego.

Kłócił się z nią przecież zawsze i uciekał do szynkowni spijać piwo, a że długów miał wyżej uszu, sądzono powszechnie, że drapnął do Australii lub do Ameryki spróbować szczęścia w innej części świata. Skoro zaś księżę z księżną zasiedli na tronie jako królewska para Paflagonii i opuścili swój dawny dom – wszyscy zapomnieli najzupełniej o dawnym, wielkim i niegrzecznym odźwiernym Ich Książęcych Mości, którego żałośnie wykrzywiona głowa widniała na dębowej bramie pałacu.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

### *Jak wielki fraucymer księżniczki Angeliki powiększył się o jedną ma- leńką osobkę*

Jednego pięknego dnia, kiedy księżniczka Angelika była jeszcze malutką dziewczynką, guwernantka jej, wielce szanowna pani Gburia-Furia, wyprowadziła ją na przechadzkę do wspaniałych królewskich ogrodów. Gburia-Furia osłaniała starannie parasolką twarzyczkę księżniczki Angeliki przed palącymi promieniami słońca, aby uchronić jej delikatną cerę od piegów, a mała Angelika niosła w rączce smakowite ciasteczko z rodzynkami, przysmak, którym chciała uraczyć łabędzie hodowane licznie na stawach królewskiego parku.

Obie damy dochodziły już do brzegów stawu, gdy wtem przydreptała ku nim mała dziewczynka, jakiej nawet niemłode już i doświadczone oczy czcigodnej guwernantki nie oglądały jeszcze nigdy w życiu.

Było to maleńkie, milutkie stworzonko – ale w jakimż dziwnym, niezwykłym stanie! Dziewczynka wyglądała tak, jakby już Bóg wie jak długo nie była wcale czesana i myta. Prawdziwy las bujnych, gęstych włosów wicherzył się nad jej wybladłą twarzyczką.

Jej płaszczyk podarty był na strzępy, a na nóżkach miała jeden tylko, i to bardzo podarty trzewiczek.

– A cóż to za szkaradny brudas! – zawołała Gburia-Furia. – Kto cię tu śmiał wpuścić do ogrodu, obdartusie paskudny?

– Daj mi tę bultę – odezwała się mała dziewczynka. – Głodno mi baldzo, baldzo głodno... głód ciuję...

– Głód? Co to jest głód? – zapytała Angelika dając dziewczynce ciasteczko.

– Ach! Ach, księżniczko, jakże dobra, jak anielsko dobra jesteś – rzekła Gburia-Furia. – Spójrzcie tylko, Najjaśniejsi Państwo – tu zwróciła się do króla i królowej, którzy nadeszli właśnie w towarzystwie małego księcia Lulejki. – Spójrzcie na tego uroczonego aniołka, na to wcielenie dobroci. Właśnie spotkałyśmy tutaj tę brudną małą nędzarke, nie wiem, dlaczego straże dworskie nie ubiły na śmierć tego szkaradzieństwa, nie wiem, jakim sposobem przylazło to aż tutaj, i – raczcie tylko miłościwie spojrzeć, Dostojni Państwo – mój mały, słodki aniołek, moje cudne kochanie daje temu brudasowi swoje własne ciasteczko!

– Nie lubię wcale takich ciastek – rzekła Angelika.

– To nic, niemniej jesteś prawdziwym aniołem dobroci, księżniczko – ozwała się guwernantka.

– Rozumie się – potwierdziła Angelika. – A ty, mały brudasku, powiedz, czy nie jestem naprawdę śliczna?

Istotnie, księżniczka, uczesana starannie w długie wijące się loki i ubrana w najpiękniejszą w świecie sukienkę i najpiękniejszy w świecie kapelusz, wyglądała bardzo ładnie.

– Baldzo lična, baldzo lična – rzekła mała dziewczynka i poczęła zaraz radośnie dygać i tańczyć, i śmiejąc się zajadała z wielkim smakiem ciastko. Ruchy jej były lekkie i zwinne, a cała postać niezwykle milutka; kręcąc się zgrabnie wkoło, przyśpiewywała ochoczo:

Doble ciasto ma lozinki,  
Więc wesole stłoję minki!

Hoc – hoc!

Król, królowa, Angelika i Lulejka śmieli się serdecznie. A mała tanecznica, ciągle wirując, śpiewała:

Hoc – hoc!  
O nic nigdy nie zapłacę!  
Ladnie tańce, ładnie skacę.

Naraz zniknęła w klombie kwiatów, lecz za chwilę już była z powrotem. Z róż i rododendronów uwiła śliczny wianuszek i tańczyła z nim tak zabawnie i uroczym przed królewską parą, że wszyscy byli zachwyceni maleńką znajdką, a zdumiona królowa zapytała:

– Powiedz nam, maleńka, skąd się tu wzięłaś? Gdzie twoja chatka? Jak się zwie twoja mamusia?

A dziewczynka odpowiedziała zaraz:

Ziadnej matki, ziadnej chatki,  
Nic nie miałam, nie mam nic!  
Uciekałam – uciekałam,  
Nie wiem nic i nie mam nic!  
Jedna lwica mila –  
Mlećkiem mnie kalmila –  
Miała jeśce lwica ta  
Lwiątko mila – ślicne dwa –  
Nie ma lwiątek – nie ma nic,  
Nie mam nic i nie wiem nic!  
Hoc – hoc!

Wyśpiewując tak, maleńka nie przestała ani na chwilę tańczyć i przytupywać nóżkami, na których widniał tylko jeden podarty trzewiczek. Wszyscy obecni ubawili się tym widokiem znakomicie. W końcu Angelika zwróciła się do królowej: – Moja mamusiu – rzekła – wszystkie moje zabawki już mi się dawno znudziły, papuga, którą lubiłam, uciekła właśnie wczoraj z klatki, więc pozwól mi, mamusiu, zabrać do domu tego śmiesznego brudaska; dam jej kilka starych sukienek i... uśmieję się z niej nieraz wyśmienicie.

– Wielkoduszna istota, wcielenie dobroci – westchnęła Gburia-Furia wznosząc oczy ku niebu.

– Ach, mam kilka sukienek, których nie cierpię – mówiła Angelika – a ta mała może być moją służebną. No, mały brudasie, pójdziesz do mnie na służbę, co?

Dziewczynka klasnęła w rączki z uciechą i zawołała:

– Ci pójdę? Pójdę! Pójdę! Taka ładna ciężnička! Pewnie obiad dostanę i siukienki! Pójdę!

I znowu śmiali się wszyscy – a potem zabrano dziewczynkę do królewskiego pałacu. Gdy ją umyto, uczesano i ubrano w sukienki księżniczki, maleńka wyglądała zaraz inaczej; okazało się, że jest może nawet ładniejsza od Angeliki. Oczywiście, księżniczka tego nie zauważyła. Nie mogło jej się pomieścić w głowie, nie umiała nigdy nawet pomyśleć, że mógłby się znaleźć na świecie ktoś równie ładny, dobry i mądry jak ona sama. Czcigodna Gburia-Furia, bojąc się, aby malutka służebna nie wbiła się w dumę i nie zapomniała nigdy o tym, w jaki sposób dostała się do fraucymeru księżniczki, schowała jej podarty płaszczyk i jedyny zniszczony trzewiczek do dużego szklanego pudła, a na pudle przylepiła kartkę z napisem:

„Ubranie małej znajdy, Rózi, którego używała, zanim za nadzwyczajną łaską i dobrocią Jej Królewskiej Wysokości, księżniczki Angeliki, powołana została do służby przy jej osobie.”

Czcigodna dama dopisała jeszcze na kartce datę całego zdarzenia i starannie pudło zamknęła.

Czas jakiś Rózia była ulubienicą księżniczki.

Śpiewała, tańczyła, deklamowała swoje wierszyki, aby tylko swoją nową panią zabawić. Jednakowoż niedługo potem podarowano księżniczce bardzo zabawną małą, potem znowu maleńkiego, ślicznego pieska, wreszcie nową, wspaniałą lalkę, a wtedy księżniczka zapomniała o Rózi i nie troszczyła się wcale o to, co się z nią dzieje. Rózia, osamotniona, posmutniała bardzo i już nie śpiewała swoich zabawnych wierszyków, widząc, że nie ma ich kto słuchać. Gdy podrosła, mianowano ją nadworną służebną księżniczki. Nie pobierała żadnej pensji, a jednak zręcznie i ochoczo spełniała swoje obowiązki.

Raniutko była już na nogach, kładła się spać ostatnia – zawsze była pod ręką, zawsze pamiętała o wszystkim. Nikt tak szybko jak ona nie umiał uprzątnąć pokoju, naprawić sukni, upiąć włosów i zakręcić papilotów księżniczce. Z uśmiechem spełniała każde polecenie i znosiła każdy kaprys swej pani. Nigdy nie widziano jeszcze na dworze tak miłej panny służebnej. Kiedy księżniczka wyrosła na dużą pannę – wyrosła także i Rózia. Księżniczka zaczęła bывать na balach i zabawach, Rózia zaś zostawała zawsze w domu i oddawała pani swej tysiące usług. Najpiękniejsze suknie księżniczki, budzące podziw powszechny, były dziełem jej małych, pracowitych rączek. Szyjąc i haftując przysłuchiwała się z największą uwagą wykładom profesorów, którzy codziennie odbywali lekcje z Angeliką. Ale gdy Rózia chciała łowić każdy wyraz padający z ust uczonych mężów, księżniczka poziewała ukradkiem albo myślała o najbliższym balu. Lekcje tańca brały dziewczynki razem: muzyce przysłuchiwała się Rózia z szczególnym zajęciem i w nieobecności Angeliki grała z wielkim zapałem ćwiczenia i zadane do nauczenia utwory. Tak samo było z nauką rysunków, to samo z językiem włoskim, francuskim i innymi językami; uczyła się ich słuchając nauczycielek Angeliki. Strojąc się na bal mówiła księżniczka: – Mogłabyś też, Róziu, wykończyć wieczorem rysunek mój na jutrzejszą lekcję. – Dobrze, proszę pani – odpowiadała z radością Rózia i natychmiast zabierała się do roboty. Tylko że nie kończyła zadań i rysunków Angeliki, ale robiła je na nowo. Pewnego razu, na przykład, profesor rysunków kazał księżniczce narysować głowę rycerza. Naturalnie Angelika podpisała pod nim swoje imię, a cały dwór, nie wyłączając króla i królowej, zdumiewał się i unosił nad zdolnościami księżniczki. Nikt się jednak bardziej nie zachwycał tym obrazkiem jak biedny Lulejka, który powtarzał wzdychając: – Ach, jaki geniusz z tej Angeliki!

Przykro mi bardzo, ale muszę powiedzieć, że i robótki księżniczki robiła za nią Rózia. A co jest najszczególniejsze, to to, że i sama Angelika, nie tknąwszy nigdy igły i napastrka, wyobrażała sobie, że to są jej własne prace, i przyjmowała pochlebstwa, pochwały i hołdy całego dworu. Wkrótce nabrała tak wysokiego mniemania o sobie, że zaczęła sądzić, iż na całym świecie nie ma dziewczęcia, które by jej mogło dorównać, i że nie znajdzie się nikt, kto by godzien był starać się o jej rękę. Małej służebnej natomiast nikt nigdy nie chwalił, więc też nie wbiła się w pychę, a będąc z natury dobrą, miłą i uprzejmą dziewczeczką, od rana do nocy przemyślała tylko, czym by pani swojej zrobić przyjemność. Teraz już i wy pewnie zaczynacie sobie zdawać sprawę, że Angelika miała swoje przywary i bynajmniej nie była takim ósmym cudem świata, za jaki Jej Księżęcą Mość poczytywano.



## ROZDZIAŁ SZÓSTY

### *O tym, jak się wiodło królewskiej latorośli książątka Lulejce na dworze króla Walorozy*

Czas nam przejść teraz do księcia Lulejki, jeszcze w kolebce ograbionego z przynależnego mu dziedzictwa przez niegodziwego stryja.

Pacholę to, jak wiecie już z poprzednich rozdziałów, wzrastało w najzupełniejszej beztrosce i – wzorując się na otoczeniu – nie myślało o niczym innym, jak tylko o urządzaniu uczt i polowań, wykwinnym stroju, ujeżdżaniu ognistych rumaków i rozrzucaniu garściami pieniędzy.

Lulejka był zbyt dobroduszny i lekkomyślny, by czuć żal do stryja o pozbawienie go korony, tronu i berła. Od książki i polityki uciekał jak diabeł od święconej wody, dzięki czemu przydany mu ochmistrz mógł przez dwadzieścia cztery godziny na dobę oddawać się swemu ulubionemu zajęciu, słodkiej drzemce. Za to Wielkiemu Kanclerzowi, baronowi Filistrozie, z roku na rok przeciągała się mina, bo książę Lulejka wzbraniał się zgłębiać tajniki prawodawstwa paflagońskiego, które traktował z równym lekceważeniem jak matematykę i nauki klasyczne. Nie wszyscy profesorowie jednak uskarżali się na brak pilności Lulejki. Wielki Koniusz Nadworny nie miał dość słów pochwalnych dla odwagi i zręczności, z jaką Lulejka dosiadał i ujeżdżał najdziksze rumaki, baletmistrz dworski zaliczał go do najlepszych swoich uczniów. Jego Ekscelencja Szambelan ogłaszał najpochlebniejsze raporty o postępach czynionych przez księcia w trudnym kunszcie gry bilardowej, najwyższe uznanie miał dla Lulejki także Radca Dworu, Nadinspektor Placów Tenisowych.

Gdybyśmy tak jeszcze zapytali o zdanie kapitana gwardii królewskiej, dzielnego fechtmistrza Zerwiłbskiego, dowiedzielibyśmy się z pewnością, że od śmierci straszliwego generała Kotłumbaja, dowódcy wojsk Krymtatarii, któremu rapier kapitana przeszył pierś na wylot, jeden Lulejka dotrzymywał placu kapitanowi. – Tęgi byłby król z niego! Jakem Zerwiłbski! – mruczał kapitan pod sumiastym wąsem i marsowe oblicze jego chmurzyło się, gdy przybywszy z raportem na dwór królewski dojrzał smukłą, zgrabną postać księcia Lulejki gnuśniejącego w beczynnym życiu dworskim i trawiącego długie godziny na prawieniu komplementów księżniczce Angelice.

I teraz, jak widzicie, siedzą sobie na ławce ogrodowej, a nawet Lulejka ujął dłoń Angeliki i tkliwymi ją okrywa pocałunkami, na co księżniczka łaskawie przyzwalać raczy. Królowa, której nie możecie zobaczyć, bo zasłania ją gęsty krzew, spogląda na nich pobłaźliwie. Nie było dla niej tajemnicą, że Lulejka świata poza Angeliką nie widzi, i z radością oddałaby mu swoją jedynaczkę za żonę. Czy małżeństwo z Lulejką było także marzeniem księżniczki? Któż odgadnie, co chowa serce kobiety? To pewne, że lubiła go szczerze, bo Lulejka był bardzo piękny, mężny i serdecznie dobry, tylko... tylko że księżniczka miała tak wygórowane mniemanie o swoim wykształceniu, że zwykła traktować Lulejkę jak nieuka, którego słów słucha się z uprzejmym lekceważeniem. Nieraz, kiedy późnym wieczorem błądzili po parku albo wsparci o balustradę balkonu wsłuchiwali się w melodyjne rechotanie żab, zdarzało się, że rozmarzona księżniczka szepnęła podniósłszy wzrok ku niebu: – O, jest już Wielka Niedźwiedzica. – A Lulejka, zamiast naprowadzić rozmowę na wyniki ostatnich badań nad ciałami niebieskimi, odpowiadał spieszenie: – Niedźwiedzica? Nie lękaj się, słodka moja An-

geliko, choćby rozjuszonych tysiąc niedźwiedzie cię napadło, wszystkie położę trupem, zanim dotkną jednego włoska na twojej głowie. – Ach, mój pocziwy Lulejko! – wzdychała księżniczka. – Całe szczęście, że proch już wymyślony, bo ty byś go z pewnością nie wymyślił. – To samo było przy zrywaniu kwiatów, to samo przy chwyтaniu motyli. Lulejka nie wahałby się skoczyć w przepaść najgłębszą i wspiąć się na najdzikszy szczyt górski, byle zasłużyć na uśmiech Angeliki, ale o astronomii, botanice i zoologii wiedział właśnie tyle co ja, z przeproszeniem, o algebrze. Toteż Angelika, chociaż Lulejkę dość lubiła, lekceważyła go, tym bardziej że jak większość ludzi miała, według mojego zdania, zbyt wygórowane wyobrażenie o głębiach swojej wiedzy.

W braku innych wielbicieli jednak, każdemu jej skinieniu posłusznych, chętnie przyjmowała hołdy składane jej przez kuzyna.

Król Walorozo odznaczał się bardzo delikatnym żołądkiem i bardzo dobrym apetytem. Szczególnie odkąd godność kucharza na dworze królewskim piastował niezrównany Rondelino, król zaczął objadać się tak sumiennie i tak często zapadać na zdrowiu, że przyboczny lekarz Jego Królewskiej Mości nie rokował mu długiego żywota.

Na samą myśl o możliwym zgonie Jego Królewskiej Mości ciarki przebiegały po skórze chytrego ministra, markiza Mrukiozo, i podstępnej ochmistrzyni dworu, hrabiny Gburii-Furii. W razie małżeństwa księżniczki Angeliki z Lulejką ster rządów przeszedłby w ręce młodego księcia, a wtedy odpokutowaliby oboje za tysiące intryg, uchybień i przykrości, których książę doznawał z ich przyczyny na każdym kroku. Jednym skinieniem palca pozbawiłby ich szczytnych urzędów i wypędził ze dworu na cztery wiatry. A może by zażądał zwrotu kosztowności: pereł, tabakierek, pierścieni i zegarków, należących ongi do nieboszczki królowej, jego matki, które chciwa ochmistrzyni przywłaszczyła sobie po jej śmierci. Zapewne pociągnąłby także do odpowiedzialności Jego Ekscelencję ministra markiza Mrukiozo za skradzionych dwieście siedemnaście tysięcy milionów dziewięćset siedemdziesiąt osiemkroć sto tysięcy czterysta dwadzieścia dziewięć dukatów, trzysta złotych i sześćdziesiąt sześć groszy, które zmarły król Seriozo przekazał w spuściznie Lulejce. Często się zdarza, że ludzie najzawzięciej nienawidzą tych, którym najwięcej wyrządzili krzywdy. Tak było i w tym wypadku. Mrukiozo i Gburia-Furia wysilali całą swą pomysłowość w celu ponizenia biednego Lulejki w oczach królewskiej pary, Angeliki i całego dworu. Rozgłaszali więc, że królewicz jest skończonym głupcem, który nawet imienia swego nie umie napisać ortograficznie i podpisuje się „Lólejka”, a imię Angeliki pisze małą literą, że włóczy się po stajniach z podpitymi parobkami, że drzemie w kościele, że długów ma więcej niż włosów na głowie, że zgrywa się w karty z królewskimi paziami, i wiele innych jeszcze plotek, bądź zupełnie kłamliwych, bądź niemożliwie przesadzających drobne błędy i uchybienia księcia.

Nie przeczę, że książę Lulejka nie był bez winy, ale wszakże i królowa grywała w karty, i król drzemał w kościele i objadał się aż do niestrawności. A jeżeli nawet książę Lulejka miał jakieś zaległe rachunczki u cukiernika, dostawcy dworu czy u nadwornego krawca, to któż temu był winien, jeżeli nie Mrukiozo, który skradł Lulejce dwieście siedemnaście tysięcy milionów dziewięćset siedemdziesiąt osiemkroć sto tysięcy czterysta dwadzieścia dziewięć dukatów, trzysta złotych i sześćdziesiąt sześć groszy, a teraz wypominał mu każdego dukata? Moim zdaniem, powinien by taki Mrukiozo siedzieć cicho jak mysz w dziurze i nie wtrącać się w sprawy księcia, któremu już przecież dość wyrządził złego.

Potwarze i oszczerstwa w niedługim czasie zrobiły swoje. Księżniczka zaczęła spoglądać na Lulejkę niechętnym okiem, na każdym kroku dawała mu do zrozumienia, że nie jest go-dzien rozwiązać rzemyka u jej trzewiczków, wyśmiewała jego nieuctwo i to, że zadaje się z prostakami, a na wszystkich balach dworskich i przyjęciach traktowała go tak pogardliwie, że nieszczęsny Lulejka rozchorował się w końcu ze zmartwienia.

Choroba bratanka była Jego Królewskiej Mości bardzo na rękę, bo, jak wiemy, król z tychże samych powodów co Mrukiozo i Gburia-Furia nienawidził Lulejki. Co do królowej, to

można było do niej łatwo zastosować przysłowie: „Kto z oczu, ten i z myśli.” Jejmość Pani Walorozo troszczyła się tylko o to, żeby jej nie zabrakło partnerów do codziennej partyjki wista i gości na wieczornej herbatce. Reszta mało ją obchodziła.

Zausznicy dworscy, których już wolę nie nazywać po imieniu, byliby najchętniej wyprawili księcia Lulejkę na tamten świat; toteż nie wiem, czy z ich namowy, czy z własnego przekonania Jego Ekscelencja Lekarz Nadworny Pigulini zaczął królewiczowi puszczać krew tak często i karmić go tak okropnymi miksturami, że w końcu biedny Lulejka wysechł jak szczapka i długie miesiące przeleżał w łóżku, z którego nie mógł powstać o własnych siłach.

Życie na królewskim dworze biegło tymczasem zwykłym trybem, tylko poczet dworaków paflagońskich powiększył się w czasie choroby księcia Lulejki o jednego jeszcze członka. Był nim sławny Lorenzo Gwazdrani, nadworny malarz sąsiedniego króla Krymtatarii. Wszyscy zachwyceni byli jego obrazami, bo na portretach, malowanych jego ręką, nawet ochmistrzyńni dworu Gburia-Furia wyglądała młodo i wdzięcznie, a oblicze ministra Mrukiozo tchnęło dobroduszną słodyczą. – Lorenzo trochę pochlebia – odezwał się raz ktoś ze śmielszych znawców. – Pochlebia? – oburzyła się księżniczka, do której uszu doszła ta uwaga. – Otóż bynajmniej nie pochlebia, bo ja, która jestem wyższa ponad wszelkie pochlebstwa, jestem stokroć piękniejsza niż na obrazie mistrza. Nie mogę jednak ścierpieć, żeby o tak genialnym artyście wyrażano się ujemnie, i poproszę kochanego papę, żeby go pasował na rycerza i nadał mu Order Złotego Ogórka pierwszej klasy.

Nikt po takim oświadczeniu księżniczki nie śmiał już słówka pisać o protegowanym przez nią malarzu, a księżniczka posunęła do tego stopnia zachwyty swój dla jego dzieł, że łaskawie raczyła wziąć u Lorenza Gwazdraniego kilka lekcji rysunków i malowania. Na próżno dworacy krzyczeli głośno, że księżniczka jest geniuszem zbyt wielkim, by ktokolwiek mógł ją nauczyć czegoś więcej, niż umie sama z bożej łaski, księżniczka postawiła na swoim i pod okiem mistrza Lorenza stwarzała (naturalnie w jego pracowni) wspaniałe arcydzieła, których część reprodukowano w „Kalendarzu Dworskim”, a inne rozkupiono po bajecznych cenach na dobroczynnej wystawie gwiazdkowej. Wszystkie obrazy opatrzone były własnoręcznym podpisem księżniczki. Czy malowane były własnoręcznie, ośmieliłbym się wątpić. Mam mocne podejrzenie, że wyszły one spod pędzla Lorenza, który nie bez ubocznej myśli zaskarbiał, sobie łaski Angeliki.

Podczas jednej z poufnych lekcji Lorenzo pokazał księżniczce portret młodzieńca w zbroi, jasnowłosego, o pięknych szafirowych oczach spoglądających ze szlachetną dumą i głęboką melancholią.

– Kto to jest ten rycerz, czcigodny mistrzu? – zapytała Angelika, której na widok portreciku serce zabiło gwałtownie.

– Jak żyję, nie widziałam tak pięknego mężczyzny – jęknęła z zachwyty chytra Gburia-Furia.

– Portret ten – odpowiedział malarz – wyobraża mego dostojnego władcę i pana, pierworodnego syna Jego Królewskiej Mości Padelli I, Wielkiego Mistrza Orderu Brylantowej Dyni, Wielkiego Księcia Księstwa Akrobatonii, KaraFara-Murii i następcę tronu Krymtatarii, królewicza Bulbę. Jeżeli Jej Książęca Mość zechce łaskawie rzucić okiem na jego męską pierś, dojrzy niechybnie wymalowaną na niej przeze mnie gwiazdę Orderu Brylantowej Dyni, który Jego Wysokość Król Padella najmiłościwiej na piersi delfina własnoręcznie przypiąć raczył w nagrodę zwycięstwa odniesionego przez księcia Bulbę nad królem Ludożerii, którego wraz z dwustu czterdziestu ośmiu olbrzymami własną ręką trupem położył. Dzięki jego waleczności nieprzyjaciele nasi poddać się musieli, choć długa i zacięta walka wojsku naszemu duże zadała straty.

„Jakież wielkoduszny wojownik! – myślała Angelika. – Wydaje się tak młody, a dokonał tylu bohaterских czynów. Z jakimż wyrazem spogląda na mnie z tego portretu!”

– Królewicz Bulbo jest nie tylko dzielny, ale i wykształcony niepospolicie, księżniczko – ciągnął dalej malarz. – Włada wszystkimi językami świata, śpiewa bosko, gra na wszystkich instrumentach i komponuje opery. Ostatni jego utwór był grany tysiąc razy z rzędu w królewskim nadwornym teatrze, a atrakcją największą sztuki był balet, w którym autor produkował się osobiście. Jak czarująco wyglądał, racz z tego wnioskować, księżniczko, że kuzynka jego, najmłodsza córka króla Cyrkazji, ujrawszy go na deskach scenicznych, rozkochała się w nim do szaleństwa i w kilka tygodni po przedstawieniu umarła.

– Czemuż księżę Bulbo nie poślubił tej biednej księżniczki? – westchnęła niespokojnie Angelika.

– Wiązało ich nazbyt bliskie pokrewieństwo, księżniczko, Kościół byłby się sprzeciwił ich związkowi. Księżę jednak nie pragnął jej pojąć za żonę, dawno bowiem już – tu Lorenzo zniżył głos tajemniczo – pan mój oddał swe królewskie serce dziewczycy godniejszej i piękniejszej!

– Jej imię? – zapytała zmieszana Angelika.

– Nie mam prawa odsłaniać imienia wybranej serca mego władcy i pana – odrzekł malarz.

– Może jednak mógłbyś mi powiedzieć bodaj pierwsze litery jej imienia i nazwiska – wykrztusiła z zalem księżniczka.

– Tego nie mogę odmówić, jeśli Wasza Wysokość raczy zgadnąć – odparł malarz.

– Czyżby jej imię zaczynało się na literę Z? Lorenzo zapewnił, że nie na Z. Angelika po kolei wymieniała: Y, X, W, aż przeszli wstecz całe abecadło. Malarz ciągle potrzasał głową przecząco.

Kiedy księżniczka drżącym głosem wypowiedziała D i nie zgadła, twarz jej powlokła się rumieńcem radości. Po literze C musiała oprzeć się o fotel z nadmiaru wzruszenia. Przy B osłabła do reszty.

– Gburciu-Furciu, podaj mi sole trzeźwiące – szepnęła opadając bezsilnie na fotel i, podtrzymywana ramieniem ochmistrzyni, spytała zamierającym głosem: – Mistrzu, czyżby to było A?

– Odgadłaś, księżniczko! – wykrzyknął chytrze malarz. – Imię tej, którą pan mój uwielbia do szaleństwa, zaczyna się na A. A teraz pozwól, że pokażę ci jej portret. – To rzekłszy Lorenzo ustawił na sztalugach obraz w złotych ramach, starannie okryty płótnem. I pociągnawszy Angelikę ku sztalugom, szybkim ruchem zerwał zasłonę.

O radości niebiańska! Za zasłoną znajdowało się... zwierciadło, a z niego wyjrzało ku Angelice odbicie jej własnego oblicza.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

### *W którym pyszna Angelika po sprzeczce z Lulejką traci pierścień zaręczynowy*

Po dłuższym pobycie w stolicy Paflagonii (wiecie już zapewne, że miasto to zwało się Blombodynga) powrócił Lorenzo Gwazdrani do Krymtatarii, uwożąc całe stosy obrazów wykonanych na dworze króla Walorozy. Szczytem sztuki malarskiej był portret księżniczki Angeliki, przed którym codziennie tłoczyły się tłumy najprzedniejszych rycerzy i panów krymtatarskich.

Portretem tym raczył się nawet zachwycić sam król Padella I i nie omieszkał odznaczyć artysty Orderem Brylantowej Dyni – szóstej klasy.

Od tego czasu do nazwiska Lorenza dodawano w dziennikach tytuł Kawalera Orderu Brylantowej Dyni, ilekroć zapowiadano specjalną wystawę jego arcytworów, co zdarzało się szesnaście razy w każdym roku.

Król Walorozo przesłał z powodu tego wysokiego odznaczenia swoje gratulacje Kawaleroowi Brylantowej Dyni, wraz z asygnatą na znaczną sumę pieniędzy, gdyż, jak wiecie, Lorenzo portretował nie tylko księżniczkę Angelikę, ale i króla i królową, i wszystkie damy, i wszystkich panów dworu, co wywołało niesłychaną zawiść i rozgoryczenie wśród artystów paflagońskich, zazdroszczących cudzoziemcowi sławy i łaski monarszej. Król Walorozo, jakby dla ostatecznego ich pogwałcenia, rozkazał miłośnikowi wystawić na widok publiczny portrecik księcia Bulby, ofiarowany mu przez Lorenza, i przy tym lubił wypytywać:

– Któż z was zdolny jest stworzyć podobne temu arcydzieło?

Potem powieszono podobiznę księcia Bulby w jadalni pałacowej, tuż przy półeczce z przyborami do herbaty, i księżniczka Angelika podziwiała go przy każdym śniadaniu. Oblicze młodego księcia, wyzierające z płótna, podobało się jej coraz bardziej, a po pewnym czasie zaczęło wzbudzać w niej taki zachwyt, że zapatrzona, w nie księżniczka raz po raz, podając królowej lub królowi herbatę, rozlewała ją przez roztargnienie na obrus. Wtedy rodzice spoglądali na siebie ze znaczącym uśmiechem i mówili sobie na ucho: – Aha, wiemy, gdzie raki zimują!

Tymczasem nieszczęsny Lulejka leżał w swoim pokoju i z dniem każdym czuł się słabszy, pomimo (a może właśnie dlatego) że jak na zucha przystało, zażywał wszystkie najszkodliwsze mikstury, jakich mu Jego Ekscelencja Doktor Pigulini nie szczędził. (Wierzę, że i wy, mili czytelnicy, postępujecie tak samo, kiedy jesteście chorzy i mama pośle po doktora.) Nie widywał nikogo prócz zacnego kapitana Zerwiłbskiego, choć i ten rzadko mógł go odwiedzić, gdyż był bardzo zajęty sprawami wojskowymi i nieustannymi paradami, oraz oprócz młodziutkiej służebnej z fraucymeru księżniczki, Rózi, która przynosiła mu codziennie kleik, słała jego łóżko i sprzątała jego pokój.

Każdego ranka i każdego wieczora, za ledwie w drzwiach uchylonych ukazała się twarzyczka Rózi, książkę Lulejka zapytywał śpiesznie:

– Ach, Róziu, Róziu, czy nie wiesz, jak się ma dzisiaj księżniczka Angelika? A Rózia odpowiadała:

– Jej Książęca Mość ma się dobrze, dziękuję Waszej Wysokości.

Słyszając te słowa Lulejka wzdychał ciężko i szeptał do siebie: – Ach, gdyby Angelika była chora, ja bym się pewnie lepiej nie miał!

I znowu po chwili pytał: – Powiedz mi, Róziu, czy księżniczka nie pytała dziś o mnie?

I znowu odpowiadała Rózia:

– Jeszcze nie pytała, proszę Waszej Wysokości, albo:

– Właśnie, kiedy szłam na górę, Jej Książęca Mość ćwiczyła nowy utwór na klawicymbale, proszę Waszej Wysokości; albo:

– Właśnie Jej Książęca Mość zajęta była rozsyłaniem zaproszeń na bal jutrzejszy, więc nie mogła mówić ze mną, proszę Waszej Wysokości. Pocziwa Rózia codziennie wynajdywała nowe usprawiedliwienie dla braku serca i obojętności księżniczki, a pragnąc z całej duszy szybkiego wyzdrowienia księcia, zaczęła mu przynosić rozmaite przysmaki (naturalnie bez wiedzy Dra Piguliniego). Najpierw kilka łyżek malinowej galaretki, potem ćwiartkę kurczaka pieczonego, to znów mózdzek cielejący w winnym sosie i za każdym razem zapewniała, że przysmaki te przyrządziła Angelika własnoręcznie i kazała zanieść księciu wraz z najczulszym pozdrowieniem i zapewnieniem o swej pamięci.

Ledwie Lulejka to usłyszał, od razu poczuł się bardziej rześki. Zjadł ze smakiem galaretkę i mózdzek, a potem zabrał się do kurczaka i w okamgnieniu, z wdzięczności dla swej ukochanej, obgryzł łapki, skrzydełka, piersi, grzbiet, szyję, obojczyk nie zostawiając ani odrobinki, i zaraz poczuł taki napływ sił i energii, że o własnych siłach wstał z łóżka, ubrał się i zszedł do bawialni, gdzie spotkał się z Angeliką, która właśnie zajęta była przystrajaniem konsol w bukiety świeżych kwiatów. Bawialnia miała wygląd uroczysty. Z wszystkich mebli zdjęto pokrowce, w świeczniki założono nowe świece, rozwieszono adamszkowe portiery, usunięto gazety i robótki, zwykle rozrzucone tu i ówdzie, a na stołach porozkładano najpiękniejsze albumy. Włosy Angeliki pozwijane były w papiloty. Jeden rzut oka wystarczył, aby odgadnąć, że na dworze królewskim przygotowuje się przyjęcie.

– A ty się skąd tutaj wziąłeś, Lulejko? – wykrzyknęła Angelika ujrzawszy wchodzącego księcia. – Bój się Boga, jak ty wyglądasz! Co za ubranie włożyłeś na siebie! Wracaj natychmiast na górę i przebierz się!

– Nareszcie wstałem, droga Angeliko, a wyzdrowienie swe zawdzięczam kurczakowi i galaretkę, które łaskawie mi przysłałaś wczoraj.

– Kurczakowi? Galaretkę? Czy ty masz bzika, Lulejko? Nic nie wiem o żadnym kurczęciu ani o żadnej galaretkę.

– Jak to, więc nie ty, nie ty mi przysłałaś kurczę, Angeliczko? – zapytał zmieszany Lulejka.

– Ja miałabym ci przysyłać kurczę! Tego by jeszcze brakowało! – zaśmiała się księżniczka. – Nie, nie, luby Lu-le-je-czko – przedrzeźniała go złośliwie. – An-ge-licz-ka zajęta była urządzaniem pokoju dla Jego Książęcej Wysokości następcy tronu Krymtatarii, który przybywa dzisiaj na dwór mojego papy.

– Następca tronu Krym-ta-ta-rii? – wykrztusił z trudem Lulejka.

– Tak jest, następca tronu Krym-ta-ta-rii – powtórzyła niepocziwa Angelika przedrzeźniając dalej biednego Lulejkę. – Założyłabym się, żeś nawet nie słyszał o istnieniu takiego kraju! Czy ty zresztą słyszałeś kiedykolwiek cokolwiek o czymkolwiek! Założyłabym się, że nie wiesz nawet, czy Krymtataria leży nad Morzem Czarnym, czy Czerwonym!

– Owszem, wiem, Krymtataria leży nad Morzem Czerwonym – wyszeptał ogłuszony Lulejka.

– Ach, ty kapuściana głowo! Ha! Ha! Ha! – wybuchnęła księżniczka szyderczym śmiechem. – Wierz mi, mój Lulejko, że jesteś tak głupi, że nie powinieneś się pokazywać w wykwintnym towarzystwie. Umiesz rozmawiać tylko o koniach i psach myśliwskich, więc poproszę papę, żeby ci kazał siąść przy oficerskim stole, między najstarszymi dragonami. To będzie kompania najstosowniejsza dla ciebie. A teraz niech acan przestanie gapić się na mnie

i zabiera się stąd jak najprędzej. Niechże acan nie zapomni przywdziać najlepszych szat na przyjęcie Jego Książęcej Mości. Prędzej, proszę mi zejść z oczu, bo nie mam czasu na gawędy z szanownym kuzynem.

– O Angeliko! – szepnął Lulejka. – Nigdy nie sądziłem, byś mogła być tak okrutna! Inaczej przemawiałaś ongi, kiedy wsunąłem na twój serdeczny palec pierścionek zaręczynowy, inaczej nazywałaś mnie w ten wieczór, kiedy po raz pierwszy mnie poca...

Nigdy jednak nie dowiemy się, co uczyniła księżniczka po raz pierwszy, bo Angelika rzuciła się ku Lulejce wrzeszcząc: – Milcz, milcz, prostaku bezwstydnym! Jak śmiesz wspominać niecne zuchwalstwo swoje! Masz! Masz! Twój śliczny pierścionek niewart grosza jednego! – i szybkim ruchem ściągnęła z palca pierścionek, i wyrzuciła go przez otwarte okno.

– Angeliko! To obrączka zaręczynowa mojej nieboszczki matki! – krzyknął Lulejka.

– A mnie co do tego, czyja to była obrączka, życzę ci, ożeń się z tą, która tę obrączkę znajdzie, choćby z pierwszą lepszą garderobianą, bo że mnie do ołtarza nie powiedzisz, to jak dwa a dwa cztery! Oddaj mi natychmiast mój pierścionek, słyszysz? Nie mogę znieść ludzi, którzy wypominają po sto razy każdy drobiazg ofiarowany im z dobroci serca! Nie myśl, że będę żałowała tego pierścionka, który pewnie kupiłeś za dwa grosze na chłopskim jarmarku. Znam kogoś, kto mnie obdarzy tak cudownymi podarunkami, jakich ty we śnie nawet nie widziałeś!

Jestem pewien, że Angelika nie byłaby się tak chętnie pozbyła zaręczynowej obrączki, gdyby była wiedziała, że niepozorny ten pierścionek jest cudownym darem Czarnej Wróżki, ofiarowanym niegdyś matce Lulejki. Pierścionek ów miał władzę zjednywania serc i miłości człowiekowi, który go miał na palcu, serc męskich – jeżeli nosiła go kobieta, kobiecych – jeżeli był w posiadaniu mężczyzny. Ojciec Lulejki uwielbiał wprost żonę swoją i od zmysłów odchodził z żalu i rozpaczony w czasie jej śmiertelnej choroby, od chwili jednak, gdy biedna kobieta, czując zbliżający się zgon, włożyła pierścionek na paluszek maleńkiego podówczas Lulejki, zobojętniał dla niej nagle, a całą czułość przelał na synka. Przez pierwsze lata Lulejki na dworze Walorozy wszyscy kochali go niewymownie i przepadali wprost za nim, ale później Lulejka oddał pierścionek swój Angelice i natychmiast ku niej zwróciły się hołdy i uwielbienia wszystkich, a jego zaniedbano zupełnie. Taka była cudowna moc pierścienia.

– Tak jest – powtórzyła z naciskiem niewdzięczna Angelika – wkrótce przybędzie ktoś, kto obdarzy mnie stokroć piękniejszymi klejnotami od twoich jarmarcznych śmieci.

– Dość tego! – przerwał Lulejka, a oczy jego ciskały błyskawice. – Zwracam waćpannie pierścionek – to mówiąc zdjął zaręczynową obrączkę z palca i podał ją księżniczce, ledwie jednak popatrzył na nią, osłupiał ze zdumienia: zdawało mu się, że widzi ją po raz pierwszy w życiu.

– Co to jest? Czyżby to była ta sama dziewczyna, którą uwielbiałem przez tyle lat? Gdzież ja miałem oczy, że nie widziałem... nie, naprawdę, Angeliko, przecież ty jesteś trochę zezowata!

– Milcz, potworze! – wrzasnęła Angelika.

– Nie, to ciekawe, przysiągłbym, że masz jedno ramię wyższe od drugiego.

– Co?! – krzyknęła Angelika.

– I... i... Ha! Ha! Ha! Angeliko, przecież ty jesteś ruda, ospowata i masz trzy wstawione zęby, i utykasz trochę na lewą nogę! Ha! Ha! Ha!

– Milcz! Milcz, nikczemniku – zaskrzeczała księżniczka i pochwycawszy jedną ręką obrączkę drugą wymierzyła Lulejce kilka siarczystych policzków, po czym rzuciła się do jego włosów i zaczęła rwać je z wściekłością, podczas gdy Lulejka zataczał się ze śmiechu, wołając: – Ha! Ha! Ha! Angeliko, litości! Ha! Ha! Ha! Nie szarpże mojej biednej czupryny! Ha! Ha! Ha! Ty nie wiesz, że to boli, bo przecież możesz odjąć połowę swoich włosów bez pomocy nożyczek i takiego szarpania! Nie, ja chyba umrę ze śmiechu! Ha! Ha! Ha!

I kiedy tak Lulejka płakał ze śmiechu, a Angelika z bezsilnej złości, drzwi rozwarły się na oścież i na progu ukazał się wicehrabia Bombastini, wielki mistrz ceremonii, przybrany w najuroczystszy strój, i skłoniwszy się z najmiłszym wyrazem na twarzy, rzekł:

– Oznajmiam najpokorniej Ich Książęcym Wysokościom, że Ich Królewskie Moście oczekują Ich Książęcych Wysokości w sali tronowej, dokąd ma wkrótce przybyć Jego Dostojność Następcą Tronu Krymtarii.



## ROZDZIAŁ ÓSMY

### *O niepojętej przemianie Gburii-Furii i przybyciu księcia Bulby na królewski dwór Paflagonii*

Na dworze paflagońskim odbywało się uroczyste przyjęcie; lokaje snuli się w liberjach kapiących od srebra i złota, Wielki Kanclerz nałożył olbrzymią, świeżo upudrowaną perukę, gwardziści królewscy raz po raz prezentowali broń i paradowali w odświętnych mundurach, a Jejmość Pani Gburia-Furia od rana przyoblekła swą szpetną postać w najcudaczniesze i najkosztowniesze stroje. Właśnie wybierała się na dwór królewski, gdy wtem, przechodząc przez dziedziniec zamkowy, dojrzała coś błyszczącego między kamieniami na bruku i zaciekawiona posłała swego chłopca do posług (szkaradnego wyrostka, ustrojonego w stare suknie nieboszczyka jej męża, źle przerobione i tak ciasne, że każdy szew zdawał się na nim pękać), i rozkazała mu przynieść ów błyszczący przedmiot. Chłopak podniósł z ziemi mały, niepozorny pierścionek i kiedy go z pokornym ukłonem podawał swej chlebobawczyni, wydał jej się nagle piękny jak cherubin. Wzięła z jego ręki pierścionek i obejrzała starannie. Była to niepozorna obrączka, o wiele za mała na jej stare, zgrubiałe palce. Lekceważącym ruchem wsunęła ją do kieszeni.

– Och, proszę jaśnie pani – wykrzyknął nagle chłopak wytrzeszczając na Gburię-Furię głupkowate oczy. – Jaśnie pa... pani dz... dziś taka śliczna jak... jak... anioł.

„I ty jesteś piękny jak amerek” – miała rzec Gburia-Furia, ale raz jeszcze spojrzawszy na chłopca przekonała się, że jest takim jak zwykle brzydkim, piegowatym wyrostkiem, o gapowatym wyrazie twarzy. Bądź co bądź, pochwała jest zawsze miła, nawet jeżeli pochodzi od najgłupszego i najszkaradniejszego chłopaka, toteż i pani Gburia-Furia z zadowoleniem spojrzała po sobie, kazała chłopcu podnieść tren swojej sukni i cała rozpromieniona weszła w komnaty pałacowe. Strażnicy pozdrowili ją ze szczególnym respektem. Na progu powitał ją okrzyk kapitana Zerwiłbskiego:

– Mościa Pani Hrabino, wyglądasz dziś jak anioł!

Kłaniając się na prawo i lewo weszła Gburia-Furia do sali tronowej, zajęła miejsce za królewską parą i z zalotnym uśmiechem zaczęła przyglądać się zgromadzeniu. Księżniczka Angelika siedziała u stóp dostojnych swych rodziców. Lulejka stał za tronem królewskim, a wyraz jego twarzy nie wróżył nic dobrego.

W otoczeniu swej świty wszedł wkrótce na salę oczekiwany następca tronu Krymtatarii; tuż za nim postępował jego szambelan baron Safandullo, za baronem zaś Murzyn, niosący na aksamitnej poduszce przepiękną koronę. Książę ubrany był w strój podróżny, a włosy jego (jak widać na obrazku) były niebywale rozczochrane. – Trzysta mil zrobiłem konno bez odpoczynku – rzekł – byle jak najprędzej ujrzeć księżniczkę... to jest dostojną rodzinę i dwór władcy paflagońskiego, nie miałem czasu się przebrać, bo każda minuta zwłoki wydawała mi się całym wiekiem.

Na te słowa Lulejka, stojący za tronem Walorozy, parsknął szyderyczym śmiechem. Cały dwór jednak łowił tak chciwie słowa księcia Bulby, że nikt nie zwrócił uwagi na ten niewczesny wybuch wesołości.

– Radzi jesteśmy Waszej Królewskiej Wysokości zawsze i w każdej szacie – rzekł król. – Mrukiozo, podaj krzesło Jego Królewskiej Wysokości – dodał zwracając się do ministra.

– Każda szata, która ma szczęście okrywać Jego Książęcą Mość, jest szczytem elegancji – powiedziała Angelika z najczulszym uśmiechem.

– Ech! Trzeba mnie dopiero zobaczyć w moich paradnych sukniach! – wykrzyknął książę Bulbo. – Byłbym je zaraz włożył na siebie, ale ten głupi stangret nie przywiózł ich dotąd. A tu kto się tak śmieje?

– To ja się roześmiałem – zawołał Lulejka. – Bo najpierw powiedziałaś waszmość, że nie przebrałeś się ze zbytniego pośpiechu, a teraz okazuje się, że nie masz nic innego do włożenia na grzbiet prócz tego, co na tobie oglądamy.

– Waszmość kim jesteś? – zapytał wyzywająco książę Bulbo.

– Ojciec mój był królem Paflagonii, a ja jestem jego jedynym synem! – odparł wyniośle Lulejka.

– Uf! – syknęli równocześnie król i Mrukiozo, jakby im kto nastąpił na odcisk. Ale król odzyskał natychmiast panowanie nad sobą i rzekł:

– Kochany książę Bulbo, zapomniałem przedstawić Waszej Dostojności mego ukochanego bratanka, księcia Lulejkę. Proszę, uściśnijcie się po bratersku. Lulejko, podaj rękę Jego Dostojności.

Lulejka pochwycił rękę księcia i ścisnął ją tak silnie, że nieszczęsnemu Bulbie łzy trysnęły z oczu. Teraz minister Mrukiozo podsunął mu krzesło, które ustawił na wysokim wzniesieniu tronowym obok siedzeń królewskiej rodziny. Widocznie jednak krzesło stało zbyt blisko brzegu wzniesienia, bo ledwie zasiadł na nim Bulbo, usunęło się w tył, a książę Bulbo potoczył się jak kula ze wzniesienia i upadł na posadzkę, wyróciwszy wpierw kilka koziołków.

Ryczał przy tym ze strachu jak bawół, a wtórował mu niepohamowany śmiech Lulejki i całego dworu, Bulbo bowiem, przed chwilą jeszcze wyglądający wcale możliwie, teraz, gdy się podniósł z ziemi, wydał się wszystkim tak pokraczny, że boki zrywano ze śmiechu. Zauważono, że przy wejściu na salę Bulbo miał w ręku różę, ale przy fikaniu kozłów z tronowego wzniesienia róża ta wypadła mu z dłoni.

– Moja róża! Moja róża! – wrzeszczał Bulbo, a jego kamerdyner rzucił się naprzód, podniósł różę z posadzki i podał ją księciu, który natychmiast wetknął kwiat w dziurkę kamizelki. I znowu zdumieli się wszyscy. Pokraczny przed chwilą Bulbo teraz wydał im się bardziej ujmujący. Prawda, że był nieco za niski, nieco za gruby, nieco rudawy i piegowaty, ale bądź co bądź, jak na następcę tronu, był nawet względnie przystojny.

Rozpoczęła się ogólna pogawędka. Ich Królewskie Wysokości zabawiły rozmową księcia, oficerowie krymtatarscy rozprawiali z oficerami paflagońskimi, a Lulejka, siedzący za królewskim tronem, tuż koło hrabiny Gburii-Furii, raz wraz rzucał na nią tak powłóczyście spojrzenia, że serce Gburii-Furii biło coraz żywiej.

– Ach, drogi książę – szepnęła w końcu z najczulszym uśmiechem – jak mogłeś odezwać się tak zuchwale w obecności Ich Królewskich Mości. Mam tak delikatne nerwy, że słysząc twoje słowa omal nie padłam zemdlona.

– Byłbym waćpanią pochwycił w swoje objęcia – rzekł na to Lulejka spoglądając na nią z zachwytem.

– Dlaczego byłeś, drogi książę, tak srogi dla królewicza Bulby? – szeptała dalej Gburia-Furia.

– Bo go nie cierpię – odparł Lulejka.

– Jesteś, książę, zapewne zazdrosny o niego, bo kochasz zawsze tę biedną Angelikę – jęknęła Gburia-Furia przykładając do oczu koronkową chusteczkę.

– Kochałem ją wczoraj jeszcze, ale dziś już jej nie Kocham! Gardzę nią! – wykrzyknął Lulejka porywczo. – Gdyby była następczynią nie jednego, ale dwudziestu królewskich tronów, gardziłbym jeszcze jej ręką! Po cóż jednak mówić o tronach! Mój tron królewski stracony jest dla mnie na zawsze. Za słaby jestem, by siłą dochodzić swoich praw, jestem sam na świecie, bez jednej życzliwej mi duszy!

– O, nie mów tak, książę! – czule pisnęła Gburia-Furia.

– Co mi tam zresztą – ciągnął królewicz dalej, patrząc na nią wymownie. – Siedząc tu, za wydartym mi tronem, czuję się tak szczęśliwy, że nie oddałbym tego miejsca za żadne skarby świata.

– O czymże wy tak bajdurzycie? – spytała dobrodusznie królowa, która przy całej swej poczciwości nie grzeszyła zbytnim rozumem. – Czas by już pomyśleć o przebraniu się do obiadu – dodała dźwigając się z tronu. – Lulejko, zaprowadź księcia Bulbę do jego apartamentów. Mój książę, jeżeli szaty twoje nie nadeszły jeszcze, będziemy najszczęśliwsi oglądając cię w stroju, jaki masz na sobie.

Okazało się jednak, że kufry księcia Bulby przybyły i czekały na niego rozpakowane w sypialni. Nadworny fryzjer zabrał się energicznie do zmierzwionych włosów księcia Bulby i wkrótce ostrzygł go i u fryzował prześlicznie. Na próżno jednak dzwon obiadowy wzywał księcia do sali jadalnej; Bulbo ubierał się tak długo, iż Ich Królewskie Moście czekały na jego przybycie przeszło dwadzieścia pięć minut. Król Walorozo był już w najgorszym humorze, bo opóźnienie obiadu uważał za najdotkliwszą przykrość, jaka go spotkać mogła.

Lulejka tymczasem asystował nieustannie Gburii-Furii i wciśnięty wraz z nią we framugę okna, nie przestawał prawić jej komplementów. W końcu wszedł kamerdyner i oznajmił uroczyście, że „Jego Dostojność Książę Bulbo, następca tronu Krymtarii, nadchodzi”, po czym wszyscy przeszli do jadalnej sali.

Obiadowano w zamkniętym domowym kółku. W uczcie tej brali udział tylko: król, królowa, księżniczka (którą do stołu prowadził książę Bulbo), obaj książęta, hrabina Gburia-Furia, minister Mrukiozo i Safandullo, szambelan księcia Bulby. Że obiad udał się świetnie, tego możecie być pewni. A co na nim było, długo by trzeba wyliczać. To pewne, że obiad ten składał się z samych potraw, które lubicie najwięcej, a smakował wszystkim ogromnie.

Przez cały czas obiadu księżniczka Angelika zabawiała rozmową księcia Bulbę, który objadał się straszliwie i raz tylko oderwał oczy od półmiska i talerza, w chwili kiedy Lulejka, krając gęś, oblał cały gors jego koszuli nadzieniem i cebulowym sosem.

Zamiast przeprosić księcia za swą nieuwagę Lulejka roześmiał się głośno, widząc, że Bulbo ściera sos z tłustej twarzy i ubrania wyperfumowaną chustką do nosa. Ile razy Bulbo spojrział na niego, Lulejka ostentacyjnie odwracał się w drugą stronę. Przy końcu uczty, kiedy Bulbo zwrócił się do niego pytając uprzejmie: – Czy nie zrobiłbyś mi, książę, zaszczytu wypicia ze mną szklanki wina? – Lulejka udał, że nie słyszy go wcale.

Wszystkie jego wejrzenia i czule słówka zwracały się jedynie do hrabiny Gburii-Furii, a stara, zarozumiała baba puszyła się jak paw z radości, sądząc, że wdziękami swymi oczarowała przyszłego następcę tronu.

Chwilami Lulejka, pochylony ku niej, wyśmiewał się z Bulby tak głośno, że Gburia-Furia kokieteryjnie uderzała go wachlarzem po rękę chichocząc:

– Fe! fe! Jak możesz być tak złośliwy, kochany książę! Jeszcze cię gotów usłyszeć.

– A niech słyszy, tym lepiej! – odpowiadał Lulejka już zupełnie głośno.

Król i królowa nie zwracali uwagi na niestosowne zachowanie się Lulejki, bo królowa była trochę przygłucha, a król chlipał i smakował każdy kąsek tak hałaśliwie, że zagłuszał wszystkich. Po obiedzie obie Królewskie Moście zdrzemnęły się na dobre w swoich fotelach.

Widząc to Lulejka zaczął w trójnasób kpić z księcia Bulby, a chcąc go do reszty ośmieszyć w oczach dam, postanowił go spoić. Zaczął więc dolewać mu raz po raz to piwa, to wina szampańskiego, to ciężkiego miodu, to likierów i malagi. Bulbo nie lubił wylewać za kołnierz, więc pił potężnie. Ale i Lulejka przebrał nieco miarę przepijając parę razy do księcia Bulby. Toteż gdy nareszcie zjawili się w salonie, zachowywali się obaj niewłaściwie; śmieli się nie w porę i pletli niedorzeczności. Ale też obaj ciężko za to odpokutowali, o czym będzie wkrótce mowa.

Bulbo zasiadł do fortepianu, przy którym właśnie śpiewała Angelika, i zaczął jej wtórować fałszywym, ochryplym głosem; potem strącił na jej wspaniałą suknię filiżankę czarnej kawy, którą mu podał lokaj. Plótl, co mu ślina na język przyniosła, a w końcu zwałił się jak kłoda na atłasem obitą otomanę i chrapał tak, że szyby drżały w oknach. Prosię umiałoby się zachowywać przyzwoicie. A jednak Angelika spoglądała na niego rozmiłowanymi oczami i wyobrażała sobie, że na całym świecie nie ma piękniejszego i rozumniejszego młodzieńca.

Bez wątpienia rzucała na nią urok zaczarowana róża, którą Bulbo miał zatkniętą w butonierce. Wierzcie mi jednak, że wiele młodych panien zakochuje się w kawalerach, którzy niewiele większą mają wartość od Bulby.

Lulejka przysiadł się tymczasem do Gburii-Furii i plótl jej niestworzone androny. Gburia-Furia z każdą chwilą wydawała mu się piękniejsza. Powtarzał jej, że równie anielskiego jak jej oblicza nie zdarzyło mu się oglądać nawet we śnie. Że jest starsza od niego? To głupstwo! Gotów jest poślubić ją każdej chwili, gdyż ona jedna może mu dać szczęście.

Na to czekała chytra ochmistrzyni. Poślubić następcę tronu Paflagonii było szczytem jej marzeń! Przewrotna kobieta pośpieszyła czym prędzej do sąsiedniego pokoju i napisała na dużym arkuszu papieru następujące oświadczenie:

„My, z Bożej łaski jedyny syn i następca nieboszczyka króla Seriozo, władcy państwa paflagońskiego, ślubujemy niniejszym i ręczymy słowem rycerskim pojąć za żonę najmilszą sercu Naszemu, czcigodną, słodką i cnotliwą Kunegundę-Gryzeldę, dwojga imion hrabinę Gburie-Furię, wdowę po nieboszczyku Antonim Gburiano.”

– Co piszesz, słodka Gburciu? – spytał Lulejka wyciągając się wygodnie na otomanie przytykającej do biurka.

– Ach, to zlecenie, żeby wobec nadchodzących mrozów wydano ubogim naszego miasta pewną ilość węgla i ciepłej odzieży – odparła przewrotna ochmistrzyni. – Drogi książę – dodała z czułym uśmiechem – zrób mi tę łaskę i podpisz ten dokument w zastępstwie króla i królowej, bo, jak widzisz, śpią oboje. Nie wątpię, że podpis twój wystarczy.

Jak wiemy już, Lulejka był bardzo dobrodusznym i łatwowiernym chłopcem, nie przecuwając więc podstępnie podpisał podany mu przez hrabinę dokument. Gburia-Furia zaś wsunęła świstek do kieszeni i dalejże zadzierać nosa do góry! Czowała się już większą panią od samej królowej, bo wszakże miała poświadczone czarno na białym, że zostanie wkrótce żoną prawowitego następcy tronu Paflagonii! Nie raczyła już nawet kiwnąć głową przyjacielowi swemu, ministrowi Mrukiozie, bo dopiero teraz, kiedy się uczuła przyszlą władczynią państwa paflagońskiego, zaczęła spoglądać na niego jak na łotra, który ograbił jej przyszłego męża z majątku. A kiedy już każdy z gości z zapaloną świecą w ręku udał się do swej komnaty, kiedy królowa i księżniczka Angelika ułożyły się do snu – Gburia-Furia przeszła także do swoich apartamentów i przez dobrą godzinę nie przestawała ćwiczyć ręki w umieszczaniu następujących podpisów na arkuszu białego papieru:

„Gryzelda – królowa paflagońska”, „królowa Kunegunda”, „Kunegunda-Gryzelda – królowa Paflagonii”, „Jej Królewska Mość Gryzelda-Kunegunda”... i wiele innych jeszcze – a w myśli jej snuły się najcudniejsze marzenia o przyszlym panowaniu.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

### *Szkandela Rózi i potężne jej działanie*

Na dźwięk dzwonka rozlegającego się z pokoju hrabiny Gburii-Furii nadbiegła służebna Rózia, żeby zwinąć jej włosy w papiloty. Gburia-Furia była dziś w tak różowym humorze, że przemówiła uprzejmie nawet do Rózi.

– Róziu – powiedziała – uczesałaś mnie dziś tak ładnie, że należy ci się jakaś pamiątka. Masz tu pięć dukat... to jest chciałam powiedzieć, weź sobie ten śliczny pierścionek, który znalaz... to jest, chcę powiedzieć, który jest od dawna w moim posiadaniu. – To rzekłszy podała Rózi mały, niepozorny pierścionek, znaleziony rankiem na podwórzu zamkowym.

Klejnocik, włożony przez Rózię, przyłgnał natychmiast do jej paluszka, jakby ukuty był dla niej.

– Jaki ten pierścionek podobny do obrączki, którą nosiła księżniczka! – zauważyła Rózia.

– Cóż za myśl – wykrzyknęła Gburia-Furia.

– Mam go już z dawien dawna. Okryj mi lepiej nogi pierzyną. Br... jakie zimne noce! Pójdiesz teraz najpierw do sypialni królewicza Lulejki i dobrze wygrzejesz mu łóżko szkandelą. Wrócisz potem i poprujesz moją zieloną jedwabną suknię, i jeszcze zrobisz mi na poczekaniu jaki ładny czepeczek na rano, potem zacerujesz mi pięty w pończochach... no, a potem będziesz mogła pójść spać. Tylko pamiętaj przynieść mi o piątej z rana gorącej herbaty z sucharkami!

– Czy jaśnie pani każe wygrzać szkandelą także i łóżko księcia Bułby? – zapytała Rózia.

Ale zamiast odpowiedzi – spod stosu pierzyn i poduszek doszło ją tylko dziwne mruczenie i sapanie: „U-u, hruu – au-ho! gruuu... hau-houg-huh-gruuu-uch!” – Hrabina Gburia-Furia chrapała w najlepsze.

Komnata Gburii-Furii przytykała do sypialni króla i królowej; zaraz w następnym pokoju sypiała Angelika. Nie otrzymawszy od ochmistrzyni żadnej odpowiedzi poczciwa Rózia pośpieszyła do kuchni, żeby napęlić królewską szkandelę żarzącymi się węglami.

Rózia była bardzo ładną, żywą i roztrofną dziewczyną. Ale widocznie dziś było w niej coś nadzwyczajnego, bo ledwo weszła do izby czeladnej, zebrane tam służebne zaczęły jej dogadywać i dokuczać. Gospodyni nazwała ją nieznośnym, zarozumiałym dziewczyniskiem. Pierwszą garderobianą oburzyło jej uczesanie. Rózia powinna rozumieć, że uczciwej i przyzwoitej służącej nie przystoi wplatać we włosy kwiatów ani wstążek. Kucharka (na dworze królewskim była oprócz kucharza także i kucharka) wzruszyła tylko pogardliwie ramionami i burknęła, że nie rozumie, jak ktoś może zwracać uwagę na tak pospolite i niepozorne stworzenie. Za to mężczyźni zebrani w izbie byli wręcz odmiennego zdania. Nadworny kamerdyner August, lokaj Marcin, kuchta dworski, mały pazik księżniczki i Francuz, kamerdyner księcia Krymtatarii, zerwali się z miejsc ujrawszy wchodzącą Rózię i podskoczyli ku niej, wołając jeden przez drugiego:

Olaboga!  
Do kata!  
Do kroćset!  
O rety!  
O nieba!



Patrzcie jeno, co to za śliczna  
dziewucha z tej Rózi!

– Precz ode mnie! Nie chcę słyszeć waszych uwag! – zawołała Rózia i oganiając się przed nimi szkandelą, wybiegła z kuchni. Z sali bilardowej dochodziły ją wykrzykiwania zabawiających się książąt. Rózia wygrzała najpierw starannie łóżko Lulejki, po czym udała się do komnaty księcia Bulby. Kiedy wychodziła z tego pokoju, we drzwiach natknęła się na Bulbę. Bulbo chwiał się nieco na nogach, bo wino, którym go raczył Lulejka, nie wyszumiało mu jeszcze z głowy, i ledwie rzucił okiem na Rózię, zaczął bełkotać:

– O-o! o-o! o-o! Cóż za cud pię-kno-ści zjawił się tutaj! Aniołku, rybko, pe-reł-ko, pą-czu-siu ró-ża-ny, pozwól księciu Bulbie zostać twoim niewolnikiem, twoim bul-bul-kiem (*bulbul* znaczy po persku słowik). Polecimy razem w pustynię – ach, leć ze mną, sarenko płochliwa, któraś me serce usidliła czarem błękitnych oczu, jakich jeszcze nie spotkałem u żadnej dziewczicy! Weź serce moje, bijące pod mą książęcą kamizelką! Bądź moją! Ja będę twoim! Będziemy swoi! Będiesz księżną Krymtarii. Król, rodzic mój, chętnie przyzwoli i. pobłogosławi nasz związek! Co mi tam Angelika! Kpię sobie z Angeliki i jej rudych jak lisia kita włosów. Za jej miłość nie dałbym nawet złamanego szeląga.

– Niech mnie Wasza Książęca Mość puści i położy się spać! – rzekła Rózia wywijając trzymaną w rękę szkandelą.

Ale Bulbo nie myślał ustąpić i wołał:

– Aniele mój, szkandelę rzuć nikiemną, ach, moją bądź, królewski tron dziel ze mną! Bierz serce me! Patrz, leżę u twych stóp, nie puszcze cię, aż nas połączy ślub!

I plół androny swoje dalej, a zachowywał się tak zuchwale i natarczywie, że Rózia, nie mogąc sobie dać z nim rady, trzasnęła go w końcu raz i drugi gorącą szkandelą. Okrzyki zachwyty Bulby zmieniły się raptem w takie wrzaski bólu, że Lulejka nadbiegł z sąsiedniej komnaty, żeby dowiedzieć się, co się stało. Zorientowawszy się w mig w położeniu Rózi, skoczył jej na pomoc i chwyciwszy Bulbę za loki, miotał nim po dywanach i posadzce, tak że z pięknej kunsztownej fryzury księcia Krymtarii pozostało zaledwie parę garści włosów.

Biedna Rózia nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Bulbo, odbijający się jak piłka nożna pod uderzeniami Lulejki, wyglądał tak pociesznie, że choć poczciwej Rózi żal go było trochę, uśmieła się do łez, Lulejka puścił go wreszcie i podczas gdy nieszczęsny Bulbo, płacząc w kącie, rozcierał sobie guzy i siniaki, Lulejka padł przed Rózią na kolana i ująwszy dłoń jej, najtkliwszymi słowami oświadczył, że kocha ją nad życie i gotów jest poślubić ją natychmiast. Możecie sobie wyobrazić wzruszenie Rózi, gdyż biedne dziewczę kochało Lulejkę już od dawna, kto wie, czy nie od tej chwili, w której ujrzała go po raz pierwszy, kiedy będąc małym, kilkoletnim dzieckiem zabłąkała się w królewskim parku.

– O najśłodsza moja! – mówił na klęczkach Lulejka. – Jakież bielmo miałem na oczach, że spędziwszy piętnaście lat pod jednym z tobą dachem, nie dostrzegłem wcześniej całego blasku wdzięków twych i cnoty. Podobnej tobie nie ma ani w Europie, ani w Azji, ani w Afryce, ani w Ameryce, ani w Australii (nie wiem tylko na pewno, czy była już wtedy odkryta). Nie, nie, nie zaprzeczaj, czyż jest na świecie dziewica, która by godna była stanąć obok ciebie? Kto? Angelika? Ha! Ha! Ha! Gburia-Furia? Puh! Ha! Ha! Ha! Tyś moją królową! Tyś moją Angeliką, bo anielską masz postać i duszę!

– Nie mów tak, Wasza Wielmożność, jam tylko biedna służebna – szeptała Rózia, do głębi uradowana słowami Lulejki.

– Któż mnie pielęgnował w chorobie? Zali nie ty? Kto pamiętał o mnie, gdy wszyscy mnie opuścili? Zali nie twoja dłoń rzeźwiła moją skroń, słała me łoże i przyrządzała kurczę pieczone i galaretkę malinową?

– Tak, to moja dłoń – wykrzyknęła Rózia – i zawsze, proszę Jego Wielmożności, przyszywałam guziki do koszul Jego Wielmożności – dodało niewinne dziewczę rumieniąc się z radości pod rozkochanym wzrokiem Lulejki.

Nieszczęsny Bulbo, pałający ciągle jeszcze miłością do Rózi, usłyszał te słowa, dojrzał tkliwe wejrzenia rzucane przez dziewczkę na Lulejkę, więc ryknął z bezsilnej wściekłości i rwać począł resztę włosów ze łba i ciskać je o posadzkę, tak że wkrótce wszystkie dywany były nimi pokryte. Szkanдела wysunęła się z rąk Rózi i leżała na podłodze, a Rózia widząc, że obaj książęta zaczynają znowu doskakiwać sobie do czubów, wymknęła się z komnaty.

– Wyłaż mi zaraz z kąta, głupi, gruby mazgaju! – zawołał Lulejka. – Zaraz ci przyślę sekundantów za to, żeś się ośmielił obrazić najśłodsza moją Rózię! Jak ci uszy obetnę, odechce ci się, nędzniku, napastować oblubienicę księcia Lulejki, prawowitego władcy Paflagonii!

– Ona nie jest oblubienicą Lulejki, ona jest oblubienicą Bulby! – ryczał Bulbo. – Ona będzie moją żoną, musi być moją żoną. Ona albo żadna!

– Jesteś zaręczony z moją kuzynką! – wrzasnął Lulejka.

– Kpię sobie z twojej kuzynki.

– Odpowiesz mi za tę obelgę! – krzyknął rozwścieczony Lulejka.

– Zabiję cię!

– A ja cię nadzieję na mą szpadę jak kurczę na rożen!

– A ja ci dziurki w nosie powystrzelam!

– Jutro pošlę ci moich sekundantów!

– Jutro przesyję cię kulką na wylot!

– Porachujemy się z sobą! – zakończył Lulejka i podsunął Bulbie ściśniętą pięść pod sam nos. Potem podniósł z ziemi szkanделę i... nie śmiecie się, proszę, bo... Lulejka wycałował i wyściskał gorącą szkanделę, pewnie dlatego, że przed chwilą trzymała ją w rękach Rózia. Potem wybiegł z komnaty.

O zgrozo! Jakież obraz przedstawił się jego oczom! Oto na samym dole schodów ujrzał Jego Królewską Mość Walorozę, odzianego zaledwie w szlafrok i szlafmycę, pochylającego się ku zmieszanej Rózi i przemawiającego najczulszymi wyrazami. Król usłyszał hałas i zgiełk, a poczuwszy, jak twierdził, woń spalenizny, pośpieszył zobaczyć, czy ogień nie wybuchł w pałacu.

– Zapewne Ich Wielmożności palą papierosy, proszę Waszej Królewskiej Mości – rzekła Rózia.

– Najpiękniejsza z pięknych garderobiano! – przerwał jej Walorozo (i on oszalał z miłości jak i tamci) – zapomnij o wszystkich młokosach i gołowąsach i spójrz łaskawym oczkiem na pewnego monarchę w średnim wieku, który za czasów swej młodości uchodził za bardzo przystojnego młodzieńca!

– Och, zaklinam, przestań, Wasza Króлева Mość! Gdyby to Jej Króлева Mość usłyszała! – szepnęła błagalnie Rózia.

– Jej Króлева Mość! Ha! Ha! Ha! – zaśmiał się monarcha. – Niechże sobie idzie do diabła. Czyż nie jestem wszechwładnym panem w Paflagonii? Czyż nie mam szubienic, stryczków, katów? Czyż nie szumi w pobliżu murów tego zamku głęboka, wezbrana toń morska? Czyż nie mam na strychu dość pustych worków? A worki moje szerokie, mocne, nowe; jeśli rozkażesz, wsadzimy w nie królową; nim się obejrzy, a już z ciepłego łoża przez okno chlupnie w milczącą bezdeń morza, a ty przy boku mym zabłyśniesz niby zorza!

Usłyszawszy straszliwe słowa Walorozy Lulejka zapomniał o należnym ukoronowanej głowie uszanowaniu i wzięwszy szeroki rozmach, grzmotnął stryja szkanделą tak potężnie, że król rozplaszczył się na posadzce sieni jak naleśnik. Lulejka wziął co prędzej nogi za pas, a

Różia uciekła również. Był już czas najwyższy, bo ze wszystkich komnat zaczęły wychylać się przerażone twarze: królowej, Gburii-Furii i Angeliki. Możecie sobie wyobrazić, jaki podniosły lament ujrzawszy dostojnego małżonka, ojca i władcę w tak smutnym stanie.



## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

### *Król Walorozo sroży się*

Ledwie rozżarzone w szkandeli węgielki zaczęły przypiekać dostojny grzbiet królewski, Walorozo ocknął się z niemocy i skoczył na równe nogi. – Hej! Dawać tu komendanta Zerwiłębskiego! – wrzasnął tupnąwszy gniewnie nogą.

Lecz... o straszliwa godzino! Nos króla Walorozo przekrzywił się na bok i, opuchły jak pomidor zwieszał się z królewskiego oblicza. Stało się to skutkiem gwałtownego upadku Walorozo pod ciosem szkandeli. Monarcha raz po raz zgrzytał zębami z wściekłości.

– Mój Zerwiłębski – rzekł wyciągając z kieszeni szlafroka wyrok śmierci. – Mój kochany Zerwiłębsciu, pójdziesz natychmiast do komnaty księcia, zakujesz go w kajdanki i zetniesz mu łeb, rozumiesz? Ten zbrodniczy gołowąs ważył się targnąć świętokradzką dłońią na dostojną mą osobę i na ziemię mnie powalił uderzywszy szkandelą! Marsz, w lewo zwrot, niechaj łotr ten zginie! Ty, komendancie, odpowiesz mi zań głową!

I zebrawszy poły szlafroka, król Walorozo zniknął w tłumie dam dworu, które powiodły go do jego komnat.

Usłyszawszy rozkaz królewski zacny kapitan oniemiał z przerażenia. Kochał Lulejkę całym sercem, więc nie dziw, że grube łzy trysnęły z jego oczu i ciężkimi kroplami opadały na sumiaste wąsy. – Biedny, biedny mój księżę – mruzczał do siebie. – Czemuż musiałem dożyć tej chwili?! Czemuż właśnie dłoń moja musi przeciąć pasmo twego młodego żywota?! Ach!

– A niechże cię... z twoimi lamentami, mój kapitanie Zerwiłębski! – usłyszał za sobą przyciszony głos kobiety. Z bocznego skrzydła wysunęła się Gburia-Furia, odziana tylko w bieliną nocną. Usłyszawszy zgiełk w sieni, wybiegła z sypialni i była świadkiem całej sceny.

– Mój Zerwiłębsciu – szeptała dalej – wszakżeż król nakazał ci poprowadzić na śmierć księcia! Czyż ci jednak powiedział, którego księcia?!...

– Nie rozumiem waćpani – odparł Zerwiłębski, który był mocniejszy w garści niż w rozwiązywaniu zagadek.

– Głupiś, mój Zerwiłębsciu! – szepnęła ochmistrzyni. – Przecież król ci nie powiedział, że masz zabić księcia Lulejkę, tylko księcia, rozumiesz?

– Rozumiem, kazał mi zabić księcia, ale nie powiedział którego – rzekł kapitan.

– Walże więc do sypialni Bulby i zetnij mu łeb czym prędzej!

Kapitan wytrzeszczył najpierw oczy, a potem zaczął tańczyć z uciechy. – Wiwat! Wiwat! – wołał. – I wilk będzie syty, i koza cała! Łeb księcia Bulby odpowiada wszelkim wymaganiom królewskim.

Ledwie nastał świt, kapitan zjawił się w pałacu z przyboczną strażą, podążył do księcia Bulby i do drzwi jego zapukał.

– Kto tam? – zapytał rozespany Bulbo.

– Kapitan Zerwiłębski.

– Proszę, proszę bliżej, kochany kapitanie. Cieszę się bardzo, że widzę waćpana. Właśnie miałem posłać po ciebie. Mój ochmistrz dworu, baron Safandullo, będzie mnie zastępować.

– Pozwolę sobie zwrócić uwagę Jego Książęcej Wysokości, że Jego Książęca Wysokość musi raczyć osobiście stanąć na placu. Zbyteczne byłoby fatygowanie barona Safandulli.

Bulbo nie brał widocznie tych słów do serca.

– Kapitanie – mówił poziewając znowu – wszakże przyszedłeś w wiadomej sprawie księcia Lulejki?

– Do usług Waszej Wysokości, w sprawie księcia Lulejki.

– Cóż wybraliście, kapitanie? Pistolety czy szpady? – pytał dalej Bulbo. – Każda broń dobra, byle raz skończyć z tym pyszałkiem, którego nauczę rozumu, jakim książę Bulbo.

– Wasza Książęca Mość raczy wybaczyć, ale u nas w użyciu są... topory.

– Topory! Hm, to będzie trochę ciężko! – zamyślił się Bulbo. – Niech tam zresztą i topór. Zawołaj waćpan mego ochmistrza. On będzie moim sekundantem. Za dziesięć minut, pochlebiam sobie, obmierzył łeb tego Lulejki stoczy się z jego karku. Hu-uh! Hau! Żłopałbym krew tego nędznika! – wołał dyszący pragnieniem zemsty Bulbo i kłapał zębami jak ludożerca.

– Wasza Książęca Mość wybaczy, ale podług rozkazu królewskiego muszę bez zwłoki uwiezić Waszą Wielmożność i oddać ją w ręce nadwornego kata...

– Ależ co robisz? Co robisz, kochanku?! Stój, powiadam ci, stój! – zdołał tylko wyjąkać nieszczęsny Bulbo, bowiem już na skinienie kapitana straż rzuciła się na niego, okryła mu zasłoną głowę, związała ręce i powiodła na plac egzekucji.

Ujrzawszy ponury orszak przechodzący przez podwórze król, który właśnie gawędził z Mrukiozem, zażył tabaki, kichnął i rzekł: – Pcich! I już po Lulejce! Chodźmy, ministrze, na śniadanie.

Kapitan Zerwiłębski oddał swego więźnia w ręce naczelnika policji wraz z wyrokiem śmierci, brzmiałym krótko:

„Niniejszym rozkazujemy o wpół do dziesiątej ściąć więźnia.

WALOROZO XXIV”

– Ależ to pomyłka! – powtarzał nieustannie Bulbo, który nie mógł zrozumieć, czego chcą od niego.

– Bah! Bah! Pomyłka! – zaśmiał się naczelnik policji. – Dawać tu kata! Bywaj, kacie!

Pociągnięto biednego Bulbę na rusztowanie, gdzie ponury kat z olbrzymim toporem w ręku stał zawsze w pogotowiu; w Paflagonii bowiem nie upłynął nigdy dzień jeden, żeby król nie wysłał nowej jakiejś ofiary na ścięcie.

Stanął więc nieszczęsny Bulbo na rusztowaniu i już, już miał żywot swój książęcy pożegnać, gdy... (zaraz powiemy, co się stało – musimy jednak przedtem wrócić na chwilę do pałacu, do Lulejki i Rózi).

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

### *Zemsta hrabiny Gburii-Furii*

Chytra Gburia-Furia w lot spostrzegła niebezpieczeństwo grożące Lulejce. W myślach nazywała już księcia swoim „mężulkiem” i postanowiła uchronić go za wszelką cenę przed zemstą króla Walorozy. Zerwała się o świcie, przybrała w najpiękniejsze szaty i pośpieszyła do ogrodu, gdzie w altanie siedział nad arkuszem papieru zamyślony Lulejka i szukał rymów do imienia swej ukochanej.

– Rózia, huzia, buzia, nózia – powtarzał, ale jakoś wyrazy te nie oddawały należycie uczuć, które księżę usiłował przelać na papier. Lulejka wytrzeźwiał już zupełnie z oszołomienia wywołanego nadmiarem wypitego trunku i nie zachował w pamięci ani jednego szczegółu z wypadków wczorajszych; pamiętał tylko, że nie ma na świecie cudniejszej istoty nad służebną Rózię i że gotów jest dać za nią życie.

– Ach! Jesteś tu, drogi Lulejko! – wykrzyknęła Gburia-Furia.

– A jestem, droga Gburciu-Furciu – odpowiedział żartobliwie Lulejka.

– Zastanawiam się właśnie, serce moje, że wobec tego bigosu, który się zrobił tej nocy, musisz jak najprędzej uchodzić z kraju.

– Wobec jakiego bigosu? Uchodzić? Dlaczego? Dokąd? Nigdy bez tej, którą uwielbiam, hrabino – odparł poważnie Lulejka.

– Ach, nie obawiaj się, ona niezwłocznie podaży za tobą – zagruchała najczulszym głosem Gburia-Furia. – Musisz tylko, drogi księżę, odebrać wszystkie klejnoty, które należały ongi do twoich dostojnych rodziców, a które niecierpliwie przywłaszczył sobie twój stryj. Tu jest kluczyk od sekretarzyka. Wszystko prawnie do ciebie należy, gołębiu mój najdroższy, bo wszakże ty jesteś właściwym królem Paflagonii, a ta, którą pojmiesz za żonę, będzie jedyną prawowitą królową.

– Tak sądzisz? – rzekł Lulejka.

– Z wszelką pewnością. Skoro odnajdziesz i zabierzesz klejnoty, pójdz do pałacu Mrukiozy. Pod jego łóżkiem jest ukryty wór zawierający dwieście siedemnaście tysięcy milionów dziewięćset siedemdziesiąt osiemkroć sto tysięcy czterysta dwadzieścia dziewięć dukatów, trzysta złotych i sześćdziesiąt sześć groszy, które nikczemny Mrukiozo wykradł z sypialni twego rodzica w dniu jego śmierci. Mając te pieniądze w ręku, bez obawy już będziemy mogli opuścić Paflagonię.

– Będziemy mogli opuścić Paflagonię? To znaczy, kto? – zapytał Lulejka nie mogąc jeszcze pojąć, do czego zmierza ochmistryni.

– Kto? Naturalnie ty, najdroższy, i twoja narzeczona, twoja słodka Gburcia! – wykrzyknęła rozpromieniona Gburia-Furia i tak czule spojrzała na księcia, że Lulejka cofnął się przestraszony.

– Waćpani masz być moją narzeczoną?! Czyś waćpani oszalała? Przecież waćpani jesteś starą, szkaradną babą! – krzyknęła.

– Ha! Nędzniku! – wrzasnęła Gburia-Furia – mam tu dokument podpisany własną twoją ręką, dokument, w którym ręczysz honorem, że poślubisz mnie, Gburie-Furię!

– A odczepże się ode mnie, stare pudło! Ja kocham Rózię! Rózię! Cudną, słodką Rózię! Rózię uwielbiam nad życie! – krzyknął Lulejka i zdjęty nagłym strachem czmychnął, jak mógł najszybciej.

– Hi! Hi! Hi! – skrzeczała za nim Gburia-Furia – popamiętasz ty mnie, żółtodzióbku! Są jeszcze trybunały w Paflagonii, a w ręku Gburii-Furii jest dokument podpisany twoim imieniem, zuchwalcze! Hi! Hi! Hi! Sprawię ja ci pasztecik lepszy jeszcze, niż sprawiłam tej potworze, tej pokrace, tej źmii, tej czarownicy, temu krokodylowi, tej ropusze nikczemnej, tej łachmaniarce Rózi! Ha! Ha! Ha! Książę Lulejko! Szukaj, szukaj swojej ubóstwianej! Ale że jej nie znajdziesz na królewskim dworze, w tym moja głowa, Gburii-Furii!!!

Co znaczyły te słowa? Ach, muszę wam opowiedzieć wszystko od początku.

Rózia, jak to czyniła codziennie, weszła cichutko, z uderzeniem godziny piątej, do pokoju ochmistrzyni, niosąc na tacy herbatę i ciastka. Gburia-Furia przyjęła ją gradem obelg i wymysłów. Była tak zła, jakby nie jednego, ale sto diabłów miała w sobie. W czasie ubierania wymierzyła Rózi kilkanaście policzków, ale mała służebna tak przywykła do brutalnego obchodzenia się z nią księżniczki i ochmistrzyni, że niewiele zwracała na to uwagi.

– Skoro Jej Królewska Mość zadzwoni, raczy waćpanna pofatygować się natychmiast do jej apartamentów – syknęła złowrogo Gburia-Furia opuszczając swoją sypialnię.

Zaraz rozległ się dzwonek z pokoju królowej. Rózia weszła i stanąwszy skromnie przy drzwiach, dygnęła po trzykroć według ceremoniału przyjętego na królewskim dworze. Wszystkie trzy kobiety, to jest: królowa, księżniczka i ochmistrzyni, radziły nad czymś głośno. Ujrzawszy wchodzącą Rózię wrzasnęły jednogłośnie:

- Potworo!
- Nikczemna kreaturo!
- Intrygantko!
- Powinnaś się pod ziemię zapaść ze wstydu!
- Wynoś się na cztery wiatry!
- Precz z moich oczu!

Tak darły się jedna przez drugą.

Biedna Rózia ciężko pokutowała teraz za fatalne działanie czarodziejskiego pierścienia i blaszanej szkandeli. Król się jej oświadczył. Nie dziw więc, że królowa omal nie pękła z zazdrości. Bulbo się w niej zakochał – był to powód dostateczny, żeby Angelika szalała z wściekłości. I co najważniejsze, zamierzał ją poślubić Lulejka – a za to przysięgła jej zemstę Gburia-Furia.

Wszystkie trzy rzuciły się na biedne dziewczątko, krzycząc:

Ściągaj natychmiast { czepeczek } które z łaski mojej  
sukienkę } nosiłaś dotąd  
fartuszek } na grzbiecie.

I dalejże szarpać jej biedne szatki i bić ją powtarzając:

Jak śmiałaś zawracać głowę { królowi,  
księciu Bulbie,  
Lulejce?

– Odziać tę znajdę w łachmany, w których przywlokła się na nasze nieszczęście do królewskiego parku, i wyrzucić precz z zamku! – wołała królowa.

– Tylko pilnować, żeby nie porwała moich trzewików, które jej łaskawie pożyczyłam – dodała księżniczka. Rózia nosiła stare obuwie Angeliki, ale trzewiki te były o wiele, wiele za duże na jej małe, zgrabne nóżki.

– Ha, mam cię w swojej mocy, obrzydła ropucho! – syczała Gburia-Furia i pociągnęła Rózię do swej sypialni. Tu wyjęła ze szklanego pudła strzępy płaszczyka oraz jeden trzewiczek, który maleńka miała na nóżce, gdy przybyła do zamku, i zdarłszy z Rózi bez litości skromne jej sukienki, cisnęła jej te łachmany mówiąc wzgardliwie: – Masz tu swoje łachy, znajdo przebrzydła, i wynos się na cztery wiatry!

Biedna Rózia okryła ramiona kawałkiem płaszczyka, na którym widniały jeszcze wyszyte złotą nitką litery: „Król Róż”. Więcej odczytać nie było można, bo druga część płaszczyka była oddarta.

Potem podniosła z ziemi pantofelek. Był tak maleńki, że lalkę zaledwie ubrać by weń można. Ale że było to wszystko, co do niej dziś należało, ze łzami zawiesiła go sobie na szyi.

– Czy... czy... nie mogłabym trzewików zatrzymać, proszę jaśnie pani hrabiny?... Tylko trzewików... śnieg i mróz wielki... proszę jaśnie pani! – szlochało biedne dziewczątko.

– Trzewików ci się zachciewa? Masz tu trzewiki, hultajko! – wrzasnęła Gburia-Furia i pochwyciwszy żelazny pogrębacz obila ją bez miłosierdzia, po czym wyrzuciła za drzwi i, pędząc przez schody i sień, wypchnęła na podwórze. Stalowa rączka od dzwonka miała więcej litości od Gburii-Furii, bo na widok niedoli słodkiej, miłej Rózi łzy popłynęły i zamarzły na wzdętych policzkach podobizny kamerdynera Gburiana.

Zapewne jednak wróżka jakaś litościwa zmiłowała się nad biedną Rózią, bo śnieg, ścielący się pod jej bosymi stopami, zdał jej się ciepły i miękki jak najkosztowniejszy dywan. Biedactwo otuliło się w strzępy starego płaszczyka i poszło w świat.

– Teraz możemy zasiąść do śniadania – rzekła żarłoczna królowa.

– Jaką suknię radzisz mi włożyć, mamu, bladuróżową czy zieloną? Jak ci się zdaje, która więcej podobać się będzie księciu?

– Jejmość pani Waloroze – rozległ się z łazienki królewskiej donośny głos Jego Królewskiej Mości – życzymy sobie mieć dziś parówki na pierwsze śniadanie. Nie zapominajcie, że gościmy księcia Bulbę na królewskim dworze.

Po czym wszyscy śpiesznie zaczęli się gotować do śniadania.

Wkrótce dzwon zamkowy wybił godzinę dziewiątą i król, królowa i Angelika zasiedli do stołu.

Próżno jednak czekano na Bulbę. Książę nie nadchodził. Samowar furczał i buchał kłębammi pary, rozkoszna woń rozchodziła się ze stosu świeżo upieczonych precelków i obarzanek. Jaja zaczęły już twardnieć. Oprócz jaj stał na stole słoik konfitur malinowych, kawa i wspaniały kapłon na zimno. Wreszcie ukazał się kucharz Rondelino z dymiącą wagą, pełną parówek z chrzanem. Ach, jakaż woń subtelna rozeszła się dokoła! Król mlasnął językiem z niecierpliwości.

– Gdzież znowu ten Bulbo?! August, gdzie jest Jego Książęca Wysokość? – zwrócił się do kamerdynera.

Na to August, zginając się raz po raz w kornych pokłonach, odpowiedział, że kiedy zaniósł Jego Wysokości wodę do golenia i szaty do przywdziania, Jego Wysokość raczył miłościwie być jeszcze w łóżku. A teraz zapewne Jego Wysokość wyszedł się przejść...

– Co, wyszedł się przejść? Na czczo? Na ten psi czas? To niemożliwe! – wykrzyknął król wbijając widelec w kielbaskę. – Proszę was, weźcie i wy po jednej. Angeliko, jedną parkę, co? – Księżniczka, która przepadała za kielbaskami, wyciągnęła talerz, gdy w tej chwili weszli do sali minister Mrukiozo i kapitan Zerwiłbski. Dość było rzucić okiem na grobowy wyraz ich twarzy, żeby się domyślić, że przychodzą z jakąś niepokojącą wieścią.

– Lękam się, proszę Waszej Królewskiej Mości – zaczął Mrukiozo, ale król machnął ku niemu ręką.

– Nie przed śniadaniem, nie przed śniadaniem, Mrukioziu! Żadnych spraw przed śniadaniem nie załatwiam. Przysuń mi, z łaski swojej, cukier, droga pani Waloroze!

– Najjaśniejszy Panie, lękam się, że po śniadaniu będzie za późno! – wykrzyknął minister.  
– Jego... jego... mają ścierać punktualnie o pół do dziesiątej.

– Niechże asan nie gada o ścinaniu, asan jest źle wychowany! Asan mi odbiera apetyt! – zawołała porywcza księżniczka. – August, podaj musztardę! Powiedzcież mi jednak, kogo to mają wyekspediować na tamten świat?

– Najjaśniejszy Panie, wszakże tu idzie o życie księcia... – szepnął królowi na ucho Mrukiozo.

– Po śniadaniu! Powiedziałem już raz asanowi, żeby mi w czasie śniadania nie zawracał głowy swoimi bzdurami – odparł monarcha i w dowód najwyższej niełaski odwrócił się do Mrukiozy plecami.

– Niech Wasza Królewska Mość uwzględni, że Paflagonii grozi wojna, bo jego ojciec, król Padella...

– Król Padella? – wykrzyknął król. – Pleciesz koszalki-opałki, mój kochany, król Padella nie był nigdy ojcem Lulejki. Ojcem jego był brat mój, nieboszczyk Seriozo.

– Ależ tu idzie o księcia Bulbę, nie o księcia Lulejkę! – zawołał minister.

– Wasza Królewska Mość rozkazał mi uwięzić i powiesić na stracenie księcia, więc zakupiłem w kajdanki tego obmierzłego Bulbę – wtrącił kapitan. – Nie mogło mi się w głowie pomieścić, żeby Wasza Królewska Mość skazywał na śmierć krew z krwi swojej i kość z swojej kości...

Kapitan nie skończył, bo król cisnął mu w łeb półmiskiem dymiących parówek. Księżniczka krzyknęła: – Ach! Ach! Ach! – i padła zemdlna na ziemię.

– Gdzie imbryk? – krzyknął król i chlusnął na księżniczkę ukropem. Angelika w mig porwała się na nogi, a król tymczasem wyjął z kieszeni zegarek i porównał go najpierw z zegarem ściennym w jadalni, potem z zegarem na wieży zamkowej. Zegary wykazywały pewną różnicę. – Cała rzecz w tym – mruknął król nakręciwszy zegarek swój starannie – że nie wiadomo, czy mój się śpieszy, czy spóźnia. Bo jeżeli się spóźnia, no to wszystko przepadło... możemy spokojnie dokończyć śniadania. Jeśli się śpieszy, od biedy dałoby się może jeszcze ocalić księcia. Co za głupie nieporozumienie! Na honor, miałbym wielką ochotę i ciebie kazać powiesić, kapitanie Zerwiłbski!

– Spełniłem tylko swój obowiązek. Żołnierz trzyma się ściśle litery rozkazu!

Zerwiłbski nie sądził nigdy, że przyjdzie mu doczekać chwili, w której Jego Królewska Mość nagrodzi jego wierną czterdziestosiedmioletnią służbę skazywaniem go na karę, której podlegają zbrodniarze.

– A żeby was! – wrzasnęła nagle księżniczka. – Podczas gdy wy tu mówicie głupstwa, mego Bulbę tam może już wieszają!

– Dalibóg! Ta dziewczyna ma zawsze słuszość – odrzekł król i znowu spojrzął na zegarek. – Strach, jaki dziś jestem roztargniony. Hm... właśnie zaczynają bić w bęben... Cóż to jednak za głupia historia!

– Papciu mój najdroższy! Papciu! Napisz prędko akt ułaskawienia, a ja z nim pobiegę na plac egzekucji! – krzyknęła Angelika i nie czekając odpowiedzi monarchy pobiegła po papier, atrament i pióro, które położyła przed ojcem.

– Dobra sobie! A moje okulary? – zawołał monarcha. – Idź, duszko, do mego pokoju. Pod poduszką leżą kluczyki. Przynieś mi je tutaj!... Do diaska, te dziewczęta są w gorącej wodzie kąpane!

Angeliki nie było już w pokoju. Bez tchu wpadła do sypialni króla, schwyciła pęk kluczy i powróciła, zanim Jego Królewska Mość zdążył przełknąć kęs bułki.

– Widzisz, serce, musisz raz jeszcze wrócić do mego gabinetu i przynieść schowany w biurku futerał z okularami. Gdybyś mi była dała dokończyć... A żeby ją! Już leci znowu jak opętana. Angeliko, Angeliko! – Księżniczka wiedziała, że skoro Jego Królewska Mość woła pełnym głosem, należy go usłuchać natychmiast. Zawróciła więc znowu z pierwszego piętra...

– Moje dziecko – zwrócił się do niej król dobrotliwie – tyle razy cię już uczyłem, żebyś wychodząc zamykała zawsze drzwi za sobą. O tak, tak, to mi się podoba. No, idź już, idź!

Nareszcie przyniosła królowna kluczyki i okulary. Król zastrugał sobie gęsie pióro i podpisał swoje imię pod aktem ułaskawienia. Księżniczka chwyciła papier i jak wichurka wypadła na dwór.

– Ależ czego tak lecisz, serce? Zostałabyś lepiej i skosztowała tych wybornych obarzanek. Za późno już, powiadam ci, że za późno – wołał za nią monarcha. – Podajcie mi konfitury. Bum! Bum! Nie mówiłem? Bije już pół do dziesiątej. Angelika tymczasem leciała jak strzała przez ulice i plac targowy, przez most i z mostu na dół ku ulicy klasztornej aż do zamkowego placu; przebiegła bez zatrzymywania się koło wielkich wystaw modniarskich, w których można się było przejrzeć od głowy do stóp. Biegła obok słupów z latarniami, przez wiele jeszcze ulic i wiele placów, aż wreszcie, wreszcie wpadła na plac egzekucji w chwili, gdy jej ukochany Bulbo kładł okrągły swój łeb na pień. Właśnie kat podniósł topór w górę, gdy... gdy rozległ się przeraźliwy krzyk: „Ułaskawienie! Ułaskawienie!”, i Angelika, z ziajanym włosiem, ze zwinnością chłopca zapalającego latarnię wdrapała się po stopniach szafotu i nie zważając na to, co królownie przystoi, rzuciła się w ramiona Bulby, wołając:

– O książę mój! Bulbo najukochańszy! Panie mój i władco! Oto przybyła twoja Angelika, by uratować cię i nie dopuścić, by kwiat twego życia zwiędł przedwcześnie. Och, gdybyś był zginął, słodki mój pączku różany, twoja biedna Angelika byłaby również umarła, by choć przez śmierć połączyć się z tobą na wieki, Bulbo mój jedyny!

– Hm, dziwne to wszystko, bardzo dziwne – rzekł Bulbo z miną tak kwaśną i nieszczęśliwą, że zaniepokojona Angelika zaczęła go z czułością dopytywać o powód jego troski.

– Powiem ci prawdę, Angeliko! – odparł Bulbo. – Odkąd przyjechałem do Paflagonii, słyszę jeno wrzaski, kłótnie, wymyślenia. Obrzydły mi już te bójki, pojedynki i egzekucje. Ja jestem spokojny człowiek i wolę dziś jeszcze wrócić do Krymtatarii.

– Ależ nie odjedziesz przecież beze mnie, bez twojej narzeczonej! Angelika podąży za tobą chociażby na kraj świata, bo gdzie ty, książę, tam świat mój, tam życie moje, tam moja Krymtataria! O mój panie, mój bohaterze, mój Bulbcu!

– Ha, no, jak widzę, nie ma rady, musimy się pobrać – mruknął Bulbo skrobiąc się frasośliwie w głowę. – Szanowni obywatele! Skoroście już łaskawie przybyli, żeby mi tu zaśpiewać *Requiem*, zaśpiewajcie nam teraz pieśń weselną! Co ma się stać, niech się lepiej zaraz stanie, bo ja lubię ciszę i spokój, a nadto jestem diablo głodny.

Przez cały czas przygotowań do egzekucji Bulbo trzymał w zębach różę. Była to róża zczarowana, ofiarowana niegdyś jego matce przez Czarną Wróżkę. Królowa Krymtatarii oddała kwiat ten pierworodnemu synowi, nakazując mu, by z różą nigdy się nie rozstawał. Ufając zapewnieniom matki, że kwiat ten ustrzeże go od wszelkich złych przygód, Bulbo trzymał go w zębach nawet w momencie, w którym już biedną swoją głowę kładł na pień, i nie tracił nadziei, że róża ta go ocali. Ale po przybyciu Angeliki przestał myśleć o róży, która też w czasie jego rozmowy z księżniczką wypadła mu z ust i leżała teraz u jego nóg. W przystępie egzaltacji królowna przykłęka, podniosła różę i przypiąwszy ją do swego stanika zawołała: – O różo luba, która kwitłaś na sercu najdroższego mego Bulby, będziesz odtąd spoczywała na mej piersi. Nigdy, przenigdy nosić cię nie przestanę. – Po tak płomiennym oświadczeniu Bulbie nie wypadło zażądać zwrotu róży. Podał więc ramię Angelice i razem poszli do pałacu na śniadanie. I rzecz dziwna: Angelika z każdą minutą wydawała się Bulbie piękniejsza, miłsza, a zanim doszli do pałacu, był w niej tak rozkochany, że z najwyższą niecierpliwością oczekiwał chwili zaślubin. Wręcz przeciwnie działo się z Angeliką. Próżno Bulbo rzucał się do jej stóp, pocałunkami okrywał jej ręce, szlochał z zachwytu i błagał o jedno życzliwe spojrzenie. Księżniczka zaczęła najpierw grymasić, napomykać o odłożeniu ślubu, a potem powiedziała wręcz, że nie pojmuje, dlaczego książę tak się jej pierwszej podobał, bo przecież widzi teraz najwyraźniej, że książę nie jest wcale piękny, o nie – wręcz przeciwnie. I nie jest mądry, o

nie, raczej bardzo gł... i daleko gorzej wychowany od Lulejki, który ma maniery wykwinne, podczas gdy Bulbo jest, prawdę mówiąc, bardzo ordyn...

Nie dowiemy się nigdy, co księżniczka chciała powiedzieć, bo król Walorozo walnął pięścią w stół i huknął na całą salę: – Do licha! Dość tych babskich fochów i grymasów! August! Zawołaj tu arcybiskupa, niech przyniesie stulę i natychmiast da ślub księciu i księżniczce!

Jak wiemy, nikt w Paflagonii nie śmiał się sprzeciwiać woli monarchy, więc nie upłynęło dziesięć minut, a już Bulbo i Angelika byli mężem i żoną. Przyszłość okaże, czy związek ten da im szczęście, którego ja im życzę z całego serca.



## ROZDZIAŁ DWUNASTY

### *Różia idzie w świat*

Tymczasem mała służebna Różia, wygnana sromotnie z pałacu królewskiego, przeszła wielką bramę miejską i most zwodzony i wydostała się na szeroki gościniec wiodący do Krymtatarii. Szła już dość długo, zapadając się po kolana w śniegu, gdy nagle w pełnym galopie przemknęły tuż koło niej sanie pocztowe napełniając powietrze hałaśliwymi dźwiękami dzwonek.

„Ach, jakże ciepło i wygodnie musi być w tych saniach! – pomyślała biedna Różia – jakżebym chętnie przejechała się nimi.” Ale pocztylion zagrał na trąbce pocztowej, woźnica strzelił z bata i pojazd zniknął z oczu biednego dziewczęcia. Różia nie domyślała się wcale, że w saniach tych jedzie książę Lulejka, który, dowiedziawszy się o wygnaniu swej ukochanej, skorzystał z ogólnego zamieszania wywołanego skazaniem na śmierć Bulby i wymknął się śpiesząc na poszukiwanie biednej wygnanki. Żadne z nich nie przeczuło, że przez jedno mgnienie oka byli tak blisko siebie. A przecież myśleli o sobie nieustannie.

Później trochę nadjechały wracające z jarmarku proste chłopskie sanie. Woźnica był dobrym, szczerym chłopakiem; kiedy więc ujrzał cudnie piękne dziewczątka wlokące się z trudem gościńcem, ulitował się nad nim i zapytał Rózię, czy nie pozwoliłaby się podwieźć, skoro w tę samą stronę co i on zmierza. Ojciec jego jest drwalem w pobliskim lesie i bardzo chętnie przyjmie ją pod swoją strzechę, jeżeli zechce odpocząć i ogrzać się przy ich ognisku. Jak wiemy, Różia szła bez żadnego celu, bo nie miała nikogo na świecie, więc najchętniej zgodziła się na propozycję młodego wieśniaka.

Woźnica otulił jej boscie nóżki derką, poczęstował ją kawałkiem chleba ze słoniną i zabawił przez drogę, jak mógł. Ale Różia drżała z zimna i pozostała smutna. Długo, długo tak jechali, aż późnym wieczorem przybyli do czarnego boru, gdzie strzeliste, posępne sosny gięły ku ziemi gałęzie pod ciężarem grubej warstwy śniegu. Nareszcie w oddali mignęło blade światło świecące za szybką nędznej chałupki drwala. Woźnica zatrzymał sanie i wprowadził zziębniętą Rózię do miłej, ciepłej izdebki, w której dokoła okrągłego stołu zasiadła właśnie do wieczerzy cała jego rodzina.

Różia ujrzała starego, pochylonego drwala i mnóstwo dzieci, które na widok wchodzącego brata porzuciły dymiącą miskę klusek na mleku i z głośnym krzykiem radości rzuciły się ku niemu, witając go i dopytując o gościńce, które im przyrzekł przywieźć z jarmarku.

Jasiek (takie było imię woźnicy) wyjął zaraz kupione dla nich obrazki i obarzanki, a dzieci skakały i klaskały w ręce z uciechy, gdy zaś ujrzały śliczną nieznajomą dziewczynę, podbiegły do niej, pociągnęły do ogniska, posadziły na wygodnym krześle, rozcierały rękami przemarznięte ręce i nóżki Rózi i podały jej kubek gorącego mleka wraz z kromką razowego chleba.

– Zobacz, zobacz, tatku – wołały do starego drwala – zobacz, jakie ta biedna, śliczna dziewczynka ma małe nóżki. Takie białe jak to mleko w misce. I popatrz, jaki ma płaszczyk podarty, zupełnie podobny do tego kawałka aksamitu schowanego w szafie, który odebrałeś młodemu lewkom, pamiętasz, na tym polowaniu, na którym król Padella je zabił. O, o, patrz, tatku, i jeszcze wisi na jej szyi malutki trzewiczek, takuteńki jak ten schowany w szafie, ten malutki aksamitny, który znalazłeś w lesie i pokazujesz nam tak często.

– Co wy tam pleciecie o jakimś płaszczyku i trzewiczku? – zapytał drwał.

Na to Rózia opowiedziała mu, że kiedy była malutkim dzieckiem, znaleziono ją w strzepach tego płaszczyka, który okrywa jej ramiona, obutą w jeden aksamitny trzewiczek. Ale ludzie, którzy się nią zaopiekowali, teraz przestali ją lubić, choć Rózi się zdaje, że nic im złego nie wyrządziła. I wygnali ją w świat, a że jest sierotą, więc tuła się teraz, nie wiedząc, dokąd się udać. Ale czasem wydaje się Rózi – tylko nie wie, czy to kiedyś było naprawdę, czy też jej się tylko tak śniło – że dawniej, dawniej mieszkała w jakimś przepysznym pałacu, jeszcze piękniejszym od pałacu królewskiego w stolicy, a potem w jaskini ciemnej, w której stara lwica karmiła ją mlekiem swoim, a śliczne młode lewki bawiły się z nią jak pieski. Tylko to musiało być bardzo, bardzo dawno, a może się to tylko Rózi śniło...

Drwał słuchał tej opowieści z oznakami takiego wzruszenia, że żona i dzieci patrzyły na niego zdziwione. Nareszcie porwał się z ławy, rzucił się ku skrzyni stojącej w kącie, wyjął z niej starą pończochę, a stamtąd talara z wizerunkiem nieboszczyka króla Kalafiore i z wielkim zdumieniem stwierdził, że młoda panienska podobna jest do króla jak jedna kropla wody do drugiej. Potem przyniósł kawałek spłowiałego aksamitu i malutki trzewiczek i porównał je z resztkami płaszczyka i trzewiczkiem zawieszonym na szyi Rózi. Na obu trzewiczkach widniał ten sam napis: „Kopytino, dostawca dworu”, na jednej połowie płaszczyka były wypisane słowa: „Król Róż”, na drugiej „ewna yczka Nro 246”. Skoro złączono oba kawałki tkaniny, utworzył się napis całkowity; „Królowna Różyczka Nro 246.”

Przeczytawszy te słowa stary drwał padł na kolana i zawołał: – O pani moja jasna! Księżniczko moja najlaskawsza! Prawowita królowo Krymtatarii! Oto pozdrawiam cię na progu ojczyzny twojej i hołd ci składam w imieniu wiernych twych poddanych. – Po czym na dowód wierności i czci najwyższej padł plackiem przed księżniczką, bosą jej stopkę położył na swojej głowie i po trzykroć stuknął dużym swym nosem o podłogę.

Widząc to królowna, która jak wiecie, będąc służebną we fraucymerze księżniczki Angielki, po kryjomu studiowała historię i obyczaje wszystkich narodów i dworów, rzekła:

– Mój zacny drwale, poznaję z wykwinnych manier waszmości, że byłeś kiedyś dworzanninem mego królewskiego rodzica.

A na to odparł drwał:

– Tak jest, Miłościwa Pani, jestem baronem Szparagino i na dworze nieboszczyka króla Kalafiore piastowałem urząd pierwszego ochmistrza dworu. Ale nikczemny tyran Padella, przywłaszczywszy sobie przed piętnastu laty tron królewski, pozbawił mnie służby i chleba. Od tego czasu zarabiam na życie swoje i dzieci rąbaniem drzewa.

– Waszmość byłeś Wielkim Ochmistrem Dworu i Nadinspektorem Wykałaczek i Tabaki Królewskiej! Jak przez mgłę przypominam sobie waćpana! Otóż na pamiątkę dnia dzisiejszego i gościnnego przyjęcia, jakiego doznałam pod strzechą waćpana, baronie Szparagino, nadaję ci tytuł Kawalera Orderu Brylantowej Dyni drugiej klasy (pierwsza przypadała w udziale tylko książętom krwi).

To powiedziawszy królowna powstała z zydła z nieopisanym wdziękiem i majestatem, a nie mając pod ręką miecza, podniosła do góry łyżkę cynową, którą właśnie kończyła jeść kłuski z mlekiem, i po trzykroć uderzyła nią w łysinę pochylonego kornie u jej stóp drwala.

Pocziwiec płakał ze wzruszenia tak mocno, że łzy jego utworzyły na podłodze sporą kałużę, a dzieci jego ułożyły się do snu na tapczanie z radosnym przeświadczeniem, że nie są wczorajszymi: Bartkiem, Kasią, Kacprem i Magdusią, ale baronami i baronównymi, potomkami wielkiego rodu baronów de Monte Marinato Szparagino, Kawalerami Orderu Brylantowej Dyni.

Teraz dopiero się okazało, jak zdumiewające postępy uczyniła królowna w naukach pobieranych ukradkiem na paflagońskim dworze. Znając na wylot dzieje wszystkich przedniejszych rodów swego państwa mówiła teraz Różyczka do barona Szparagino: – Nie wątpię, że ród Pomidorionich pozostał wierny naszemu domowi. Ale rody Buraczellich zwróciły się

zapewne ku nowo wschodzącemu słońcu... Za to rody Kalarepich i Kapustianich, tak miłe sercu nieboszczyka króla Kalafiore, mego nieodżałowanego rodzica, zapewne staną po stronie prawej dziedziczki korony krymtatarskiej...

Na to zapewnił ją stary baron, że cały naród ożywiony jest pragnieniem zrzucenia z tronu niegodziwego Padelli i powita ją z uniesieniem. I choć było już bardzo późno, nakazał dzieciom swoim, które znały las doskonale, żeby ubrały się natychmiast i pobiegły do okolicznych zagród, by zwołać mieszkańców ich na naradę. Kiedy najstarszy syn jego, Jasiek, wszedł po napojeniu i oczyszczeniu koni do izby, zamiast oczekiwanej wieczerzy otrzymał wiadomość, że dziewczątka, które do sań swoich zaprosił, jest królową krymtatarską, a on sam – Kawalerem Orderu Brylantowej Dyni. Dano mu także do zrozumienia, że powinien natychmiast wdziać z powrotem buty, dosiąść szkapę i rozgłosić radosną wieść o cudownym ocaleniu i powrocie królowy Różyczki.

Młody woźnica, czyli baron Szparagino, zwałił się za przykładem ojca do nóg Różyczki, podobnie jak ojciec stopkę jej oparł na swojej głowie i jak ojciec po trzykroć nosem pukał w podłogę. I jego łzy polały się obficie, bo trzeba wam wiedzieć, że zakochany już był w królownie po uszy, jak zresztą każdy, kto choć minutę przebywał w jej towarzystwie. Nawet małżonkowie Bartek i Kacperek skakali sobie do oczu z zazdrości o królowę i sporo już nabili sobie sińców i guzów.

Na wiadomość o powrocie Różyczki szlachta krymtatarska pośpieszyła do chaty barona Szparagino. Byli to przeważnie sami starcy i Jej Królewska Mość nie mogłaby nigdy przypuścić, że na jej widok wszyscy ku niej zapłoną miłością. Chodziła między nimi nie zdając sobie sprawy, jakie spustoszenie czynią jej wdzięki, lecz pewien stary, niewidomy markiz przestrzegł ją przed fatalnym wpływem jej urody. Zdziwiona i zmieszana tym odkryciem, królowa nie pokazywała się odtąd inaczej jak z twarzą zakrytą gęstą zasłoną.

Pod eskortą oddanych sobie rycerzy wędrowała z zamku do zamku szukając przyjaciół. Stronnicy jej zwołali wiele poufnych zgromadzeń i publicznych wieców i wydali mnóstwo odezw i proklamacji. Na wiecach tych i zgromadzeniach rozdzielili między siebie wszystkie najlepsze urzędy państwowe i ogłosili dużo wyroków śmierci na przeciwników swej partii; wszystko to miało wejść w życie po objęciu rządów przez młodą królową. Ostatecznie, po roku takich przygotowań, mieli ruszyć w pole.

Ale jak wiemy, wojsko to składało się po większej części z weteranów i zniedołężniałych starszków. Toteż gdy dzierżąc w rękach pozwlekane ze strychów sztandary, obrońcy królowscy przeciągali gościńcem i, potrząsając zardzewiałymi mieczami, krzyczeli: „Śmierć na jeźdźcy Padelli! Niech żyje królowa Różyczka!” – lud spoglądał na nich z politowaniem.

Gdyby Różyczka raz jeden była ukazała się ludowi, piękność i dobroć, rozlane na jej słodkiej twarzyczce, oczarowałyby zapewne i porwały wszystkich. Ale w obawie wywołania rozruchów królowa osłaniała uroczą swą twarzyczkę gęstym welonem, lud zaś pamiętał dobrze, że nieboszczyk król Kalafiore uciskał poddanych podatkami tak jak król Padella, nie miał więc powodu do nadstawiania karku dla przywrócenia w Krymtarii dawniejszej dynastii.

## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

### *Królewna przybywa do zamku Brodacza Pancernego*

Jak już wiemy, królewna Różyczka nie mogła nic ofiarować swoim rycerzom i giermkom prócz Orderu Brylantowej Dyni i tytułów markizów i baronów. Odznaczenia te pochlebiały im jednak bardzo, tęsknili bowiem za dawnymi stanowiskami dworzan królewskich, a chcąc się podnieść we własnych oczach, wykleili królowie koronę ze złotego papieru i z taniego welwetu kazali jej uszyć płaszcz i suknię. Od świtu do nocy kłócili się o przyszłe zaszczyty i dostojęstwa, a kłócili się tak głośno i brzydko, że nim miesiąc upłynął, biednej królowie było bardzo przykro panować nad nimi, i kto wie nawet, czy w duszy nie żałowała dawnego, choć tak podrzędnego stanowiska służebnej z fraucymeru księżniczki paflagońskiej.

Ale że każdy powinien spełniać swoje obowiązki na stanowisku, które zajmuje, więc i królowa z pokorą poddawała się swemu losowi, usiłując godnie nosić papierową koronę.

„Armia Wiernych”, tak bowiem szumnie nazywało się wojsko Różyczki, przeciągała gościncami Krymtatarii, nie zatrzymywana nigdzie przez pułki króla Padelli, które niedawno wyruszyły pod jego wodzą na daleką wyprawę wojenną. „Armia Wiernych” składała się z samych oficerów, a zaledwie kilkunastu żołnierzy. Prawie wszyscy jej przedstawiciele cierpieli na podagrę i reumatyzm, trzeba było więc co kilka wiorst wypoczywać po oberżach i domach zajezdnych, gdzie przy kufelku rozpoczynali przyszli dygnitarze i magnaci nowe zwady i kłótnie.

Nareszcie dnia jednego przybyli do posiadłości należącej do potężnego hrabiego Brodacza Pancernego, który wprawdzie dotychczas nie oświadczył chęci przyłączenia się do „Armii Wiernych”, ale mógł się dać nakłonić do zawarcia z nią sojuszu, wobec jawnej nienawiści, jaką żywił dla króla Padelli. Ogólnie było wiadomo, że Brodacz Pancerny utopiłby Padellę w łyżce wody.

Kiedy „Armia Wiernych” podeszła do żelaznych wrót broniących wstępu na dwór Brodacza Pancernego, pan zamku kazał powiedzieć przez swego lokaja, że wkrótce przybędzie złożyć Jej Królewskiej Wysokości swoje uszanowanie. Był to rycerz bardzo gwałtownego temperamentu, a tak niepospolitej siły, że hełm jego stalowy z trudem unieść mogło dwóch tęgich Murzynów postępujących trzy kroki za nim. Ujrawszy królową Różyczkę Brodacz Pancerny rzucił się z takim impetem na kolana, aż ziemia jęknęła pod nim, i rzekł:

– Dostojna Pani i władczyni! Godzi się przedstawicielowi najpierwszego w Krymtatarii rodu oddać cześć głowie ukoronowanej. Uznając bowiem Waszą Dostojność tym samym składam hołd własnemu szlachectwu. Śmiały rycerz, zwany Brodaczem Pancernym, zgina kolano przed tobą jako najpierwszą z arystokracji krymtatarskiej.

– Hrabia jest nadto łaskaw – odparła uprzejmie Różyczka drżąc z przestachu pod spojrzeniem ponurego rycerza, którego oczy błyskały straszliwie z głębi zarosłej czarnymi kudłami twarzy.

– Najpotężniejszy z potężnych tego, państwa – ciągnął dalej rycerz – pozdrawia cię, Miłościwa Pani, pozdrawia cię jako osobę sobie równą urodzeniem i stanowiskiem. Dostojna Pani, oto jestem gotów oddać dłoń moją i miecz mój za słusność twej sprawy. Pochowałem już trzy żony, ostatnią złożyłem przed rokiem w grobowcach mego zamczyska. Serce moje tęskni za nową towarzyszką życia. Przyrzeknij, że zostaniesz moją żoną, ja zaś jako podarunek ślub-

ny ofiaruję ci łeb króla Padelli, nos i oczy syna jego Bulby, a w dodatku prawą rękę i uszy zdradzieckiego władcy Paflagonii, którego kraj podbiję i przyłączę do twego, to jest do naszego państwa. O, szepnij „tak”, bo straszne będą następstwa twojej odmowy. Będę palił, pustoszył, rabował, zadawał najsrozsze tortury, cały kraj pogrążę w ogniu i krwi i zadrzy Krymtataria pod pięścią Brodacza Pancernego! O królowo! Widzę, że czule słowa moje zdołały obudzić w sercu twym przychylność. Widzę w oczach twych promyk nadziei, który radością przepelnia serce moje.

– Wybacz, hrabio – odrzekła Różyczka wysuwając drobną dłoń ze straszliwych łap Brodacza Pancernego. – Jestem waszmości niezmiernie zobowiązana za ofiarowane mi usługi, ale uczuciom jego odpowiedzieć nie mogę, gdyż od lat wielu czuję serdeczną skłonność ku księciu paflagońskiemu Lulejce i tylko jego małżonką zostać mogę.

Któż zdoła wyrazić wściekłość Brodacza Pancernego? Porwał się na równe nogi, zgrzytnął zębami z taką siłą, że iskry posypały się z jego ust. Wraz z iskrami posypały się słowa jak grzmoty, a tak gwałtowne i obelżywe, że pióro moje wzdraga się je powtórzyć.

– Do piorr-rrruu-na! Do stu bomb i kar-rrrr-taczy! Krrrwi! Krrwi, w której bym obmył hańbę tej godziny! Cały świat utopię w morzu krwi! Ha! Ha! Dumna królowo! Jeszcze się ugniesz pod straszliwą zemstą Brodacza Pancernego!

Po tych strasznych słowach jednym kopnięciem swej potężnej stopy wyrzucił biednych Murzynów na kilkanaście metrów w górę i, rycząc jak tur raniony, wybiegł. Czarna jego broda miotła się przed nim jak złowroga chmura niosąca w sobie śmierć i przerażenie.

Słyszając okropne słowa obrażonego hrabiego i widząc, jak butem wali niczym w piłkę nożną w grzbiety Bogu ducha winnych Murzynów, „Armia Wiernych” omal na miejscu nie zginęła z przerażenia. Obawy jej nie były bezpodstawne, bo ledwie zgrzybiali rycerze opuścili posterunek przy żelaznej bramie i uszli może ćwierć mili, już na gościńcu ukazał się zbójcecki wojownik na czele bandy drabów równie strasznych jak ich dowódca. Banda ta rzuciła się z rykiem na stronników Różyczki i zaczęła ich kłuć, tratować, rąbać, wiązać i kneblować. Nie minął kwadrans, a cała „Armia Wiernych” była już w puch rozbita i zniesiona doszczętnie.

Królownę pojmano żywcem. Straszliwy Brodacz nie chciał nawet spojrzeć na nią, wrzasnął tylko do swoich siepaczy: – Hej, dawać tu wóz drabiniasty, związać tę dziewczkę i odwieźć ją w podarunku Jego Królewskiej Mości Padelli I.

Do cennego swego daru usłużny i przebiegły wasal dołączył list, w którym zapewniał Padellę, że codziennie wznosi korne modły do tronu Najwyższego, by zachował w najlepszym zdrowiu króla i jego rodzinę. Przy końcu listu nadmienił, że przybędzie wkrótce na dwór królewski, by złożyć hołd swemu królowi i panu, i zapewniał go o dozgonnej swej wierności. Ale Padella był nadto chytrym wróblem, żeby dać się wziąć na plewy Brodacza Pancernego. Nie uwierzył też ani jednemu słowu z tego listu; a jak przyjął swego wasala, o tym dowiedzieć się wkrótce. Tymczasem mogę was zapewnić, że – trafiła kosa na kamień.

Biedną Różyczkę związano i rzucono na wiązkę słomy. Ale nie myślcie, że słoma ta zmieniła się w listki róż i jaśminów, jak to nieraz bywa w bajkach. Ach, nie, biedne dziewczątko wieziono na drabiniastym wozie przez wiele wsi i miast, aż dowieziono na dwór królewski, gdzie właśnie odbywał się triumfalny wjazd króla Padelli, który w pień wymordował prawie wszystkich swoich nieprzyjaciół. Najbogatszych tylko włókł za swoim wozem; tych miał zamiar poddać torturom, żeby wymusić na nich zeznania, gdzie ukrywają skarby swoje, które chciał sobie przywłaszczyć.

Straszliwe krzyki i lamenty jeńców przebiły mury więzienne i doszły aż do celi, w której więziono biedną Różyczkę. Była to okropna, wilgotna nora, pełna nietoperzy, szcurków, myszy, ropuch, ślimaków, węży, stonóg i wszelkiego robactwa. Na nieszczęście światło nie miało tu znikąd dostępu; gdyby który z dozorców mógł ujrzeć śliczną twarzyczkę Różyczki, byłby na pewno zakochał się w niej natychmiast, jak rozkochał się w niej stary puchacz, mieszkający na wieży sąsiedniej, i kot małżonki więziennego dozorczy.

Koty, jak wiecie, widzą w nocy, więc i ten kot, raz jeden rzuciwszy zielonym okiem na uwięzioną królową, za nic nie chciał powrócić do swojej pani, tylko miauczał nieustannie pod drzwiami Różyczki. Ropuchy całowały jej białe nóżki, węże owijały się pieszczotliwie dokoła jej rąk i szyi i nigdy, nigdy najmniejszej nie wyrządziły jej krzywdy. Bo też dziwnie czarująca była mała królowa w swym nieszczęściu.

Długo, długo trzymano ją w tym więzieniu, aż dnia pewnego klucz zgrzytnął w zamku i na progu lochu ukazał się król Padella. Ale nie mogę wam tego powiedzieć, o czym mówił z królową, bo musimy znowu powrócić do królewicza Lulejki.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

### *Przygody księcia Lulejki*

Na samą myśl o możliwości zaślubienia strasznej Gburii-Furii Lulejkę ogarnął tak paniczny strach, że jak szalony wpadł do swej komnaty, rozkazał służbie spakować swój kufer podróżny i w okamgnieniu już siedział w dylizansie, który właśnie miał odjeżdżać.

Całe szczęście, że się tak pośpieszył i że nie stracił ani chwili przy pakowaniu, bo ledwie wyjaśniła się „pomyłka” kapitana Zerwilebskiego, nikczemny Mrukiozo wysłał kilku policjantów z rozkazem aresztowania księcia Lulejki i odprowadzenia go na plac egzekucji, gdzie miał być ścięty, zamiast księcia Bulby, z uderzeniem godziny 12 w południe.

Ale o tej porze sanie pocztowe, uwożące księcia Lulejkę, dojeżdżały już do granicy Paflagonii, a pościg wysłany za nim wrócił z wiadomością, że nikt nie wie, w którą stronę udał się młody książę.

Między nami mówiąc, Lulejka miał zarówno między służbą, jak i między ludem wielu stronników, którzy chętnie pozbyliby się rządów znenawidzonego Walorozy.

Cały naród sarkał po cichu na tyranie tego zdrajcy i obżartucha; coraz częściej napomykano, że wprawdzie król Seriozo miał swoje wady, nigdy jednak nie był tak okrutny jak Waloro. Toteż sympatie wszystkich zwracały się ku młodemu następcy tronu, Lulejce, uchodzącemu teraz przed zemstą nikczemnego stryja.

Na dworze królewskim od rana do nocy odbywały się huczne zabawy i pląsy. Ucztom, balom, polowaniom nie było końca. Król po swojemu święcił zaślubiny Angeliki z księciem Bulbą. Wiadomość o ucieczce Lulejki przyjął ze szczerym zadowoleniem, gdyż bądź co bądź Lulejka był jedynym synem jego brata, więc nawet rad był w duszy, że ominęła go hańbiąca kara śmierci.

Mróz był tego dnia bardzo silny, śnieg skrzypiał pod stopami i Lulejka, który odbywał podróż pod skromnym nazwiskiem pana Incognito, ucieszył się otrzymawszy wygodne miejsce między jakimś dobrodusznym jegomościem a innym opasłym panem. Zaraz na pierwszej stacji za Blombodyngą, gdzie poczta zatrzymała się dla zmiany koni, zjawiała się jakaś kobiecina o bardzo niepozornym wyglądzie, z torebką przewieszoną przez ramię, i zapytała o miejsce. Wszystkie miejsca wewnątrz dylizansu były już zajęte i pocztylion odpowiedział nieznajomej, że jeśli chce jechać zaraz, musi się zadowolić siedzeniem na budzie dylizansu. Opasły jegomość, siedzący po prawej stronie Lulejki, widocznie jakiś gbur nieokrzesany, wysunął głowę przez okno i zawołał: – Winszuję, winszuję asińdźce przyjemnej podróży pod gołym niebem – i roześmiał się głośno. Lulejka zachnął się na ten koncept, bo żal mu było biednej kobiety, wyglądającej bardzo mizernie i raz po raz zanoszącej się od kaszlu.

„Ustąpię jej swego miejsca – pomyślał poczciwy książę – tak zimno dzisiaj, że mogłaby się nabawić jeszcze cięższej choroby.” – W tej chwili odezwał się znowu opasły sąsiad Lulejki: – Mogłoby to babsko siedzieć gdzie na piecu w izbie, a nie pchać się między porządnym ludzi. – Tego Lulejce było już za wiele. Krew w nim zagrała i zanim opasły jegomość zrozumiał, co się dzieje, już posypał się na niego grad policzków i kułaków, którymi Lulejka nauczył go od razu, że mężczyzna nie powinien nigdy ubliżać kobiecie, tym bardziej jeżeli ta jest uboga i podróżuje sama. Udzieliwszy takiej nauczki niegrzecznemu jegomościowi Lulejka poprosił nieznajomą, żeby zajęła jego miejsce, sam zaś wdrapał się na dach dylizansu i

zaszył aż po uszy w słomie, usiłując się schronić przed dojmującym zimnem. Niegrzeczny jegomość wyniósł się jak niepyszny z dyliżansu na jednej z następnych stacji, a wtedy Lulejka usiadł obok nieznajomej i zabawiał ją przez całą drogę, dziwiąc się jej niepospolitemu rozumowi i rozległej wiedzy. Ponieważ nigdzie więcej nie zatrzymywano się na dłuższy popas, towarzyszka podróży raz po raz otwierała torebkę i częstowała go jakimś przysmakiem. Nikt by nie uwierzył, że tak mała torebka może zawierać aż tyle różności. Była to jakby studnia, z której czerpie się ciągle, a wody nie ubywa. Ledwie Lulejka poczuł pragnienie – nieznajoma, jakby odgadując jego życzenie, wyjęła z torebki flaszkę wina i srebrny kubek. Ledwie mu się jeść zachciało – już z torebki wysunął się kapłon pieczony, chleb, sól, kilkanaście plastrów szynki i spory kawałek słodkiego, pachnącego ciasta z rodzynekami. Na deser wyjechały z torebki owoce i kieliszek likieru.

Naturalnie mówiło się o tym i owym jak zwykle w podróży. Nieznajoma zdumiewała Lulejkę coraz więcej. Po prostu nigdy jeszcze nie zdarzyło mu się spotkać osoby tak wszechstronnie wykształconej. Nieuctwo jego tym jaskrawiej występowało w porównaniu z jej rozumem i wiedzą. Biedny Lulejka zamilkł w końcu ze wstydu i czerwieniał się po uszy, żałując w duchu lat spędzonych na próżnowaniu. Nieznajoma widocznie odgadła przyczynę jego smutku, bo odezwała się nagle: – Mój kochany Lul... panie Incognito, jesteś jeszcze tak młody, że możesz zdobyć wszystko, czegoś nie umiał zdobyć do tej pory, A kto jak kto, ale ty właśnie powinieneś umieć wiele, bo może nadejść dzień, w którym dom potrzebować będzie młodego, rozumnego gospodarza.

– Do kroćset! – krzyknął Lulejka. – Czyżbyś waćpani wiedziała, kim jestem?

– Długo żyję już na świecie, moje dziecko, więc widziałam wielu ludzi i wiele wypadków – odpowiedziała nieznajoma. – U jednych bywałam na chrzcinach, inni drzwi przede mną zamykali. Widziałam ludzi, których zbytek szczęścia znieprawił i spodlił, i innych, których dusze zahartowały się w bólu i cierpieniu, jak stal hartuje się w ogniu. Waćpanu radziłabym z serca, żebyś, zajechawszy do najbliższego miasta, w którym wóz pocztowy zatrzyma się tej nocy na popas, pozostał w nim i zabrał się tego do pracy. Chciałabym także, byś waćpan w życzliwej pamięci zachował starą przyjaciółkę, która nie zapomni przysługi, jaką jej oddałeś.

– Kto jest moją starą przyjaciółką? – zapytał.

– Jeżeli będziesz potrzebował czegokolwiek – mówiła dalej nieznajoma – zajrzyj do tej torebki, którą ci daję w upominku, i wspomnij wtedy życzliwie...

– Kogo?

– Czarną Wróżkę! – odrzekła uroczyście nieznajoma i z szumem wyfrunęła przez okienko dyliżansu. Lulejka zapytał wtedy woźnicę, czy nie wie, kim była pani, która z nim odbywała podróż, ale woźnica odpowiedział, że w dyliżansie nie było żadnej pani, tylko staruszka z torebką, która wysiadła już na poprzedniej stacji. Lulejka zaczynał przypuszczać, że uległ jakiemuś sennemu przywidzeniu, gdy wtem wzrok jego padł na leżącą na jego kolanach torebkę nieznajomej. Wziął ją do ręki, potem, stosując się do rad Czarnej Wróżki, wysiadł z dyliżansu i poszedł do najbliższej gospody, i poprosił o nocleg.

Wskazano mu jakąś nędzną stancijkę, gdzie Lulejka, zmęczony podróżą, zasnął natychmiast jak kamień. Gdy się nazajutrz obudził, zapomniał, że nie jest już w królewskim pałacu, i zaczął krzyczeć jak dawniej: – Hej, Janie! Marcinie! Erneście! Prędeży, pantofle ranne, szlafrok, czekoladę! – ale nikt się na to wołanie nie zjawił, a ponieważ dzwonka nie było, Lulejce nie pozostało nic innego do zrobienia jak ubrać się samemu i zejść po schodach na dół.

Na jego wołanie wyszła wreszcie z sąsiedniej izby właścicielka gospody, która wyglądała mniej więcej tak jak każda gruba jejmość.

– Czego tak się drze i hałasuje? – zapytała niezbyt uprzejmie.

– Cóż to za hotel, moja pani! – zawołał Lulejka. – Ani wody ciepłej, ani dzwonka. Nikt nie wziął nawet moich trzewików do oczyszczenia!



– Hi! Hi! Hi! – zaśmiała się gruba jejmość. – Widzicie go, panicza z Honolulu! Jakby to sobie nie mógł butów oczyścić! Jedną koszulę ma na grzbiecie, a pretensyj więcej niż włosów na głowie! Jak żyję, nie widziałam takiej beczelności!

– W tej chwili opuszczam tę karczmę! – zawołał z gniewem Lulejka.

– A zabieraj się waćpan na cztery wiatry. Im prędzej, tym lepiej. Zapłać tylko swój rachunek – i fora ze dwora. Mój hotel jest dla porządnych, solidnych gości, a nie dla gołych studentów, którym tylko fiu, fiu w głowie!

– Waćpani hotel jest chyba dla niedźwiedzi, ale nie dla ludzi – zawołał Lulejka. – Każ waćpani wymalować swój portret na szyldzie, a szyję dam, że niczyja noga w tym hotelu nie postanie!

Otyła jejmość wyniosła się z izby, a Lulejka wrócił do swej izdebki. Pierwszym przedmiotem, na który padł jego wzrok, była torebka nieznanego, która podskakiwała na stole znacząco, jakby chciała zwrócić na siebie jego uwagę.

„Hm, przekąsiłbym coś z przyjemnością – pomyślał Lulejka, który nic jeszcze nie miał w ustach – może się też w tej torebce znajdzie coś do zjedzenia, bo pieniędzy mam tak mało, że po zapłaceniu rachunku tej wiedźmie nie miałbym nawet za co kupić bochenka chleba.”

Szybko otworzył torebkę, ale zamiast śniadania – zgadnijcie, co w niej znalazł? Oto szczotkę do czyszczenia i pudełko pasty do bucików z napisem:

Rozkoszy, szczęścia ten ma w bród,  
Kto taką pastą czyści but!

Lulejka roześmiał się serdecznie, pociągnął buty czernidłem, oczyścił szczotką, po czym schował ją do torebki.

Potem spakował rzeczy, a wtedy torebka znowu podskoczyła z lekka na stole. Widząc to Lulejka otworzył ją i wyjął:

1, 2. Obrusik i serwetę.

3. Cukierniczkę napełnioną najlepszym cukrem w kostkach.

4 – 11. Dwa widelce, dwie łyżeczki, dwa noże, szczypce do cukru, nożyk do masła, wszystko znaczone literą L.

12 – 14. Czajnik, filiżankę i spodek.

15. Dzbanuszek z doskonałą śmietanką.

16. Puskę wyborowej herbaty.

17. Ogromny imbryk z kipiącą wodą.

18. Ładną ryneczkę z trzema jajami ugotowanymi na miękko.

19. Dziesięć deka masła deserowego

20. Oraz bochenek razowego chleba.

Powiedzcie sami, czy nie dość tego było jak na pierwsze śniadanie? Lulejka podjadł sobie należycie, po czym otarł usta i włożył wszystko do zaczarowanej torebki. Potem poszedł szukać kawalerskiego pokoju do wynajęcia. Zapomniałem wam powiedzieć, że miasto, w którym książę się zatrzymał, było dużym miastem uniwersyteckim i nazywało się Studentopolis.

Wkrótce znalazł skromny pokoik na wprost uniwersytetu. Zapłacił więc rachunek niezgrzesznej gospodyni i przeniósł swój kufer i swoją torbę podróżną do nowego mieszkania. A że nie zapomniał swej zaczarowanej torebki – tego możecie być pewni.

Zaraz wziął się do rozpakowywania kufra. Ale jakież było jego zdumienie, gdy zamiast książęcych szat, które włożono weń dnia poprzedniego, znalazł w nim całe mnóstwo książek! Otworzył pierwszy tom i na karcie tytułowej odczytał następujący napis:

Tym wiedza dla umysłu, czym suknia dla ciała.  
Pilnie bacz, by nauka w głowie pozostała.

A gdy Lulejka zajrzał do torebki, wydobyl z niej zaraz mundur, płaszcz i czapkę studenczką. Znalazł także gruby kajet, parę ołówków, tuzin piór, sporą flaszkę atramentu i najlepszy podręcznik do nauki ortografii, który królewiczowi bardzo się przydał, bo, jak wiemy, ortografia jego była bardzo nieszczególna. Lulejka zabrał się tak dzielnie do pracy, że przez cały rok nie stracił na próżnowaniu ani jednej minuty. Toteż profesorowie stawiali go za przykład wszystkim słuchaczom uniwersytetu, co nie budziło jednak zazdrości u kolegów Lulejki, gdyż szczerzy, poczciwy kolega Incognito umiał sobie zjednać serca wszystkich. Przy końcu roku odbył się egzamin publiczny, na którym Lulejka odpowiadał tak znakomicie, że wydano mu następujące świadectwo:

Z ortografii – celująco  
Z kaligrafii – celująco  
Z historii – celująco  
Z francuskiego – celująco  
Z rachunków – celująco  
Z łaciny – celująco  
Obyczaje – chwalebne  
Pilność – wytrwała

Kiedy odczytano głośno to świadectwo, wszyscy koledzy Lulejki huknęli z pełnej piersi:

– Wiwat! Niech żyje kolega Incognito! Do kroćset! Ten to ma głowę nie od parady! Wiwat! Niech żyje! W górę go! Niech żyje!

W triumfie niesiono Lulejkę na rękach, po czym cała banda studentów udała się do jego mieszkania, zanosząc tam wszystkie nagrody zdobyte przez Lulejkę, a to: prześlicznie oprawne książki, medale, wieńce laurowe itp.

W kilka godzin później książkę zabawiał się w kawiarni w towarzystwie dwóch najbliższych przyjaciół. Nie wiem, czy wam opowiadałem, że każdej soboty zaczarowana torebka dostarczała Lulejce pieniędzy na zapłacenie rachunku tygodniowego za pokój i za wikt w pobliskiej jadłodajni oraz jednego dukata na „przyjemności”. (Jest to tak pewne jak to, że cztery razy cztery jest piętnaście.) Otóż, nagawędziwszy się z kolegami, Lulejka wziął w rękę „Dziennik Studentopolitański”, bo trzeba wam wiedzieć, że książkę umiał już teraz najdłuższy nawet wyraz przeczytać płynnie i napisać bez błędu, i zatopił się w lekturze następującej treści:

R o m a n t y c z n a h i s t o r i a. – Śpieszymy się podzielić z czytelnikami naszego pisma nieprawdopodobną wiadomością, która wzburzyła umysły w sąsiadującym z nami państwie Krymtatarii. Cofnawszy się myślą wstecz, przypominamy naszym czytelnikom, jakie okoliczności towarzyszyły wstąpieniu na tron najczcigodniejszego naszego sprzymierzeńca, Jego Królewskiej Mości Padelli I.

Gdy po straszliwej bitwie pod Pożarozgliszczami, w której zginął panujący wówczas w Krymtatarii król Kalafiore, Jego Królewska Mość Padella w triumfie wjechał na zamek królewski, nie umiano mu powiedzieć, co się stało z jedynym dzieckiem króla Kalafiore, kilkoletnią podówczas królową Różyczką. Przypuszczano, że dziecina, opuszczona przez tchórzliwych dworaków, dostała się do pobliskiego lasu, gdzie najprawdopodobniej zginęła poszarpana przez lwy, z których dwa król Padella zabił na polowaniu, a dwa schwytano żywcem w ostatnich czasach i zamknięto w zwierzyńcu królewskim ku ogromnemu zadowoleniu okolicznych wieśniaków; dzikie te bestie rozzuchwalały się coraz bardziej i setkami pożerały ludzi i bydło.

Wielkoduszny król Padella ubolewał szczerze nad nieszczęsną przygodą, która dotknęła małą księżniczkę, gdyż w łaskawości swojej zamierzał zająć się jej losem. Zdawało się niepodobieństwem, by dziecina mogła była uniknąć śmierci, gdyż w paszczach młodych szczeniąt

lwich, przesytych dzidą bohaterskiego króla, znaleziono szczątki płaszczyka i maleńki trzewiczek, które rozpoznano jako własność małej królowny. Interesujące te pamiątki przechował starannie znalazca ich, baron Szparagino, jeden z najprzedniejszych dworzan króla Kalafiore. Ponieważ baron Szparagino nie umiał zaskarżyć sobie łaski Jego Dostojsności króla Padelli i podobno po kryjomu sprzyjał dawnej dynastii, został z urzędu swego usunięty i wiele lat przebywał w lesie na pograniczu państwa Krymtatarii i Paflagonii, zarabiając na życie rąbaniem drzewa.

Niespełna tydzień temu, we wtorek, przeciągał przez gościniec Krymtatarii oddział zbrojny z baronem Szparagino na czele, eskortujący damę przedziwną, jak twierdzą, piękności, której historia wyda się zapewne naszym czytelnikom nader prawdziwa, choć w wielu szczegółach graniczy z nieprawdopodobieństwem.

Dama owa twierdzi, że przed piętnastu laty, gdy przebywała w lwiej jamie w krymtatarskim lesie, została porwana przez jakąś nieznaną panią, która ją w karecie ciągniętej przez cztery ogniste smoki (wiadomość tę podajemy na odpowiedzialność naszego korespondenta) odwiozła do parku króla Walorozy XXIV i tam porzuciła. Jej Książęca Mość Angelika, obecnie małżonka następcy tronu księcia Bulby, z ujmującą dobrocią, która ją cechowała od kolebki, uprosiła dostojnych swych rodziców, by małą sierotkę pozostawili na dworze, a że nikt nie domyślał się, jakiego jest pochodzenia, przyłączono ją do fraucymeru księżniczki jako służebną pod imieniem Różia.

Dziewczynka owa, gdy dorosła, nie umiała zadowolić dostojnych swych chlebodawców i została zwolniona ze służby. Opuszczając Blombodyngę młoda służebna zabrała ze sobą pamiątki mogące naprowadzić na ślad jej pochodzenia, mianowicie trzewiczek i podarty płaszczyk, w którym przybyła na dwór królewski, i, jak zeznaje, czas jakiś przebywała pod opieką rodziny barona Szparagino. Traf chciał, że w tym samym dniu opuścił dwór królewski także bratanek Jego Królewskiej Mości książę Lulejka, którego sława, o ile idzie o uzdolnienia umysłowe i dobre obyczaje, nie należała do najlepszych. Jak czytelnikom naszym wiadomo, o młodym księciu zagiął słuch wszelki...

- Co za dziwna historia! – rzekli obaj koledzy Lulejki.
- O Boże? – wykrzyknął nagle Lulejka i czytał dalej:

**G o n i e c W i e c z o r n y.** – Dowiadujemy się, że zbrojny oddział pod dowództwem barona Szparagino został doszczętnie zniesiony przez hrabiego Brodacza Pancernego. Rzekomą królową pojmano żywcem i odstawiono pod eskortą do stolicy, gdzie wydano ją Jego Królewskiej Mości Padelli I.

**W i a d o m o ś c i U n i w e r s y t e c k i e.** – Wczoraj na tamtejszym uniwersytecie wypowiedział mowę doktorską po łacinie pan Incognito. Rektor uniwersytetu, dr Omniscino, wyraził mu największe swe zadowolenie i obdarzył go najwyższą odznaką akademicką – drewnianą łyżką.

– Ach, co mnie to wszystko obchodzi! – rzekł Lulejka z oznakami najgłębszego wzburzenia. – Chodźcie ze mną, dzielny kolego Paliwodo i wy, nieustraszony kolego Bałaguło. Odślonię wam tajemnicę, która w zdumienie wprawi wasze dusze!

- Śmiało, koleżko! – zawołał zapalczywy kolega Paliwodo.
- Gadajże, co masz gadać! – wykrzyknął rubaszenie kolega Bałaguła.

Trudno opisać królewski gest, którym Lulejka powstrzymał te oznaki poufałości koleżeńskie, które teraz nie były już na miejscu!

– Przyjaciele moi – rzekł do nich dobrotliwie – nie będę dłużej taił przed wami prawdziwego mego nazwiska. Nie jestem kolegą Incognito, za jakiego mieliście mnie dotychczas, ale ostatnim potomkiem królewskiego rodu...

– Wiem, wiem, *atavis edite regibus*, stary druhu – przerwał Paliwoda, ale jeden błysk królewskiej żrenicy nakazał mu milczenie i zmusił do pochylenia czoła w głębokim uszanowaniu.

– Przyjaciele – ciągnął dalej książę – jam jest królewiczem Lulejką, jedynym prawym władcą państwa paflagońskiego... Podnieś się, Bałaguło, nie klękaj że w miejscu publicznym. I ty nie padaj mi do nóg, poczciwy mój Paliwodo!... Zdradliwy stryj, gdym dzieckiem był nieletnim, pozbawił mnie i tronu, i korony, jak Hamleta, nieszczęsnego księcia Danii. Chował mnie wśród pustych uciech, a jeśli pomyślałem kiedy o wyrządzonej mi krzywdzie, to mnie zwodził i córkę swą, księżniczkę Angelikę, obłudnie przyrzekał dać za żonę. Skradziony tron i ojców mych koronę w dzień mych zaślubin miałem dostać w wianie! Kłamstwo za kłamstwem padało z jego warg chytrych, jak chytre było jego starcze serce. Ach, fałszem były jego obietnice, fałszem była Angeliki dusza, fałszem miłość jej i uroda. Bulbo, głupkowaty następca tronu Krymtatarii, w jej zezowatych oczach znalazł łaskę. Ja zaś zwróciłem me książęce serce ku skromnej Rózi, służebnej na dworze, która, jak właśnie gazeta podaje, jest zaginioną królowną Różyczką, spadkobierczynią prawą Krymtatarii. Anielska dusza mojej ukochanej światlejsza jest od świetlnych blasków słońca i czystsza od drżącej kropli rosy. O niej wciąż myślę we śnie i na jawie, do niej należy serce me i dusza, bowiem nie znajdę piękniejszej nad nią, cnotliwszej, skromniejszej, łagodniejszej... itd., itd.

Nie powtarzam całej przemowy Lulejki, gdyż była bardzo długa. Wprawdzie panowie Paliwoda i Bałaguła słuchali jej z ogromnym zajęciem, ale zapewne dlatego, że nie znali wszystkich wypadków zaszłych na dworze królewskim. Wam powtarzać ich nie będę, bo znacie je już dokładnie, powiem wam tylko, że Lulejka po skończonej przemowie zaprowadził kolegów swoich, przejętych zarówno niespodziewanymi wiadomościami, jakich im książę udzielił, jak też i świetną wymową Lulejki, do swego pokoiku, w którym tak pilnie rok cały przesiedział nad książkami.

Na biurku jego, jak zawsze, leżała torebka Czarnej Wróżki. Lulejkę zastanowiło zaraz, że jest nadmiernie wydłużona. Szybko ją otworzył i – o dziwo! Z torebki wysunął się przepyszny miecz obosieczny ze złotą rękojeścią, w aksamitnej pochwie, na której czerwonym tle widniał złoty napis:

### ZA CZEŚĆ I ŻYCIE KRÓLEWNY RÓŻYCZKI!!!

Lulejka pochwycił miecz, a gdy przeciął klingą powietrze, cały pokój zajaśniał od oślepiającego blasku. – Za cześć i życie królowny Różyczki! – wykrzyknął z zapałem, a obaj koledzy powtórzyli za nim jak echo: – Za cześć i życie królowny Różyczki! – lecz nie hałaśliwie jak dawniej, tylko z należytyym umiarkowaniem i szacunkiem. W tej chwili kufer, wyładowany książkami Lulejki, westchnął i podskoczył usiłując zwrócić na siebie uwagę, a gdy Lulejka podniósł wieko, oczom jego ukazał się wspaniały hełm rycerski z zamkniętą przyłbicą, zdobny w złotą koronę i pióropusz ze strusich piór; dalej złoty pancerz i złote ostrogi, słowem – całe uzbrojenie wojenne. Wszystkie książki zniknęły jak kamfora. Zamiast grubych słowników leżały w głębi kufra wojskowe buty z ostrogami i napisem: „W. P. Porucznik Bałaguła” i „W. P. Porucznik Paliwoda”. Dla każdego z nich znalazł się doskonale dopasowany mundur oficerski, hełm i miecz, szabla i pancerz. Wszyscy trzej młodzieńcy szybko wdziali zbroje i jeszcze tego samego wieczora dosiedli koni (których również dostarczyła im torebka) i galopem wyjechali z miasta Studentopolis, nie poznani ani przez pedela uniwersyteckiego, ani nawet przez stróża miejskiego, któremu na myśl nie przyszło, że wspaniali ci rycerze są skromnymi słuchaczami uniwersytetu, panami: Incognito, Paliwodą i Bałagułą.

Dojechawszy do miasteczka na granicy Krymtatarii, rycerze nasi zatrzymali się na popas i uwiązawszy konie u żłobów weszli do gospody. Właśnie zapijali piwem skromny posiłek, złożony z chleba i sera, gdy do uszu ich dobiegł dźwięk bębnow i trąb. Ku granicy Krymtatarii zmierzał hufiec wojska. Wkrótce plac przed gospodą zapełnił się żołnierzami. Jego Królewska Mość wychylił się z balkonu i rozeznał z radością paflagońskich żołnierzy powiewających paflagońskimi sztandarami i wygrywających narodowy hymn paflagoński.

Żołnierze zapełnili wkrótce całą gospodę.

Lulejka rzucił okiem na ich dowódcę i zawołał:

– Kogóż ja widzę? Nie, nie, to niemożliwe! Ależ tak, to on, mój zacny, stary przyjaciel, dzielny kapitan Zerwiłebski! Czyżbyś, kochany, stary weteranie, nie poznał dzisiaj księcia Lulejki? Wszakże na dworze zdradzieckiego stryja nieraz trawiliśmy długie godziny na przyjacielskich, poufnych gawędach i na ćwiczeniu się we władaniu bronią. Niejeden wieniec i niejedną wstęgę dzięki twym radom zdobyłem w turniejach. Pamiętasz, drogi, zacny kapitanie?

– A jakżebym mógł nie pamiętać, dobry mój Panie! – rzekł wzruszony kapitan. A Lulejka pytał dalej z balkonu:

– Powiedz mi, proszę, pytam cię szczerze, dokąd zdążają moi żołnierze?

Kapitan smutnie ku ziemi schylił czoło.

– Sojusznicy króla Padelli, idziemy zaciągnąć się pod jego chorągiew... – rzekł z cicha.

– Co słyszę! Mężny kapitan Zerwiłebski w służbie nikczemnego tyrana? Przyjaciel mój, kapitan Zerwiłebski, na żoździe uzurpatora krymtatarskiego?! – urągliwie wykrzyknął Lulejka.

– O Panie mój! Żołnierz musi bez szemrania wykonać rozkaz króla, któremu przysiągł wierność. Pierwszym moim obowiązkiem jest wziąć udział w wyprawie wojennej pod chorągwią sprzymierzeńca naszego, króla Padelli, a potem... potem, mój książę, muszę wykonać rozkaz drugi, rozkaz uwięzienia i odstawienia na dwór królewski...

– Nie sprzedawaj skóry z niedźwiedzia, któregoś jeszcze nie upolował, mój Zerwiłebciu – krzyknął wesoło królewicz.

– ...Jego Książęcej Mości Lulejki, niegdyś następcy tronu paflagońskiego – dokończył kapitan Zerwiłebski opanowując z trudem wzruszenie ściskające mu krtań. – Panie mój, oddaj dobrowolnie swoją szpadę, wszak widzisz, że jest nas trzydzieści tysięcy – nie oprzesz się tak przemożnej sile...

– Co? Ja miałbym oddać swoją szpadę? Szpadę królewicza Lulejki?! – wykrzyknął z uniesieniem królewicz. Jedną dłonią wsparł się o poręcz balkonu, drugą wyciągnął ku wojsku i wypowiedział tak płomienną mowę, że jak Paflagonia Paflagonią nikt jeszcze nic równie pięknego nie słyszał. Mowa ta wypowiedziana była pięciostopowymi jambami i od tego dnia uznał Lulejka tę formę wiersza za formę królewską, najlepiej wyrażającą szczytne jego pragnienia i myśli, i we wszystkich przemówieniach zawsze się nią posługiwał. Królewicz mówił przez trzy dni i trzy noce, a nikt ze słuchających nie odczuwał znużenia, nikt nie zauważył nawet, że po trzykroć zapadła noc i dzień nastął znowu. Uroczystą ciszę przerywały tylko co dziewięć godzin szalone brawa żołnierzy, którzy w ten sposób dawali upust swemu uniesieniu. Lulejka wówczas pośpiesznie wysysał pomarańczę podawaną mu przez usłużnego porucznika Bałagule. W mowie tej, której nawet nie usiłuję odtworzyć, bo na pewno bym nie potrafił, Lulejka zapewnił żołnierzy, że nie tylko nie odda swej szpady, ale nie spocznie, dopóki nie wywalczy ją zagrabionego przez Walorozę dziedzictwa. Zakończenie tej natchnionej improwizacji wywołało tak szalony entuzjazm, że pierwszy kapitan Zerwiłebski zerwał drżącą ręką hełm z głowy i wyrzucił go w górę krzycząc: – Wiwat! Niech żyje król nasz i pan, Lulejka! – A wszyscy żołnierze powtórzyli za nim:

– Niech żyje!

Widzicie, jak dobrze się stało, że Lulejka usłuchał rady Czarnej Wróżki i tak pilnie uczył się na uniwersytecie! Przed rokiem byłby na pewno nie umiał trzech zdań sklecić, cóż dopiero mówić wierszami przez trzy dni i trzy noce!

Skoro brawa i wiwaty ucichły, Lulejka kazał wytoczyć dla żołnierzy kilkadziesiąt beczek piwa i sam pił ich zdrowie. Kapitan byłby uściskał go chętnie po dawnemu, ale tylko zaszalutował z uszanowaniem i oznajmił Lulejce, że oddział wojska, będący pod jego komendą, jest strażą przednią kilkudziesięciotysięcznej armii, która ciągnie na pomoc królowi Padelli. Armią tą dowodzi zięć Walorozy, księżę Bulbo.

Na to Lulejka powiedział spokojnie: – Nie brak nam, stary, odwagi i męstwa, z twoją pomocą jam pewny zwycięstwa; gdy armia Bulby przeciw mojej stanie, drzyj, Walorozo, nikczemny tyranie!

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

### *Zły król Padella sroży się*

Zaledwie król Padella I wszedł do lochu i ujrzał królową Różyczkę, uległ, jak w ogóle wszyscy mężczyźni, epidemii miłosnej, a że był wdowcem, oświadczył gotowość poślubienia jej natychmiast. Królowa odpowiedziała mu ze zwykłą słodyczą i wdziękiem, że jest zaręczona z księciem Lulejką i nikogo innego nie poślubi. Padella usiłował zmienić jej postanowienie łzami i błaganiami, a gdy to nie pomogło, wpadł w szalony gniew i zagroził, że wymusi na niej przyzwolenie najokrutniejszymi torturami. Na to królowa spojrzała mu prosto w twarz i odpowiedziała z godnością, że woli umrzeć w najsroźszych męczarniach niż oddać rękę mordercy swojego ojca. Padella ryknął z wściekłości i opuścił loch złorzecząc jej najokropniej i przysięgając, że królowa jeszcze tego ranka życiem zapłaci za swe zuchwalstwo.

Król nie zmrużył oka przez całą noc, tylko przewracał się z boku na bok, obmyślając, jaki rodzaj śmierci wybrać dla Różyczki. Nic nie zadowalało jego okrucieństwa. Ścięcie? – Ach, to by była śmierć za lekka. Szubienica? – W Krymtatarii wieszano codziennie całe tuziny delikwentów i ten rodzaj rozrywki nie sprawiał już królowi żadnej przyjemności. W końcu przypomniał sobie dwa dzikie lwy, przysłane mu niedawno w podarunku, i postanowił natychmiast rzucić Różyczkę na pożarcie tym krwiożerczym bestiom.

Do zamku przylegał wielki amfiteatr, gdzie odbywały się często walki byków, walki kogutów i różne inne równie dzikie i okrutne igrzyska. W klatce umieszczonej pod amfiteatrem ryczały po nocach uwięzione lwy, budząc grozę i przerażenie w tchórzliwych mieszkańcach miasta. Ale zaledwie rozeszła się wieść, że król zamierza piękną, niewinną dziewczę rzucić lwom na pożarcie, tłumy ludu pośpieszyły do amfiteatru, pragnąc się przyjrzeć tak zajmującemu widowisku.

Król Padella raczył zjawić się także i zasiadł w łoży na wprost areny. Otaczali go najpierw dygnitarze dworu; po prawej ręce miał hrabiego Brodacza Pancernego, który raz po raz błyskał ku niemu złowrogo zębami. Padella, ponury jak chmura gradowa, rzucał mu wściekłe spojrzenia, usłudni bowiem zauszniczy nie omieszkali opowiedzieć mu historii niefortunnych oświadczyń hrabiego i obietnic, jakie czynił królowie. Donieśli mu, że przysięgał osadzić ją na krymtatarskim tronie, a jako podarunek ślubny ofiarowywał jej ścięty łeb Padelli. Nastrój więc panujący w królewskiej łoży nie należał do bardzo pogodnych. Jedno uczucie było tylko wspólne obu okrutnikom: uczuciem tym było pragnienie zemsty nad biedną, młodziutką królową, która za chwilę miała stać się bohaterką ponurej tragedii na arenie amfiteatru.

Z zapartym oddechem patrzył tłum na królową odzianą w białe giezło. Złote włosy, opadające miękką falą aż ku jej drobnym bosym nóżkom, były całą jej ozdobą (nóżki nie bolały ją, bo arena posypana była trocinami). Nie potrzebuję wam chyba mówić, że królowa była dziś piękniejsza niż kiedykolwiek i oczarowała nawet straż królewską i dozorców dzikich zwierząt, którzy patrzyli na nią z uwielbieniem i gorzkimi łzami płakali na myśl o czekającej ją śmierci.

Różyczka stała oparta o wielki kamień, wzniesiony pośrodku areny, i spokojnie czekała śmierci. Wszystkie łoże opatrzone były grubymi kratami, bo wygłodzone lwy, karmione od

trzech tygodni jedynie wodą i grzankami, ryczały straszliwie, kłapały zębami i toczyły pianę z rozwartych paszcz.

Na skinienie Padelli dozorca otwarł klatkę i dwie straszliwe, płowe, chude bestie wypadły z okropnym rykiem: wurrrrrr – wurrrrrr – wurrrrrr – wurrr... i rzuciły się ku Różyczce. Ach, westchnijcie, drogie dzieci, na jej intencję, bo jeszcze sekunda – i już będzie po małej królewnie. Dreszcz grozy wstrząsnął całym amfiteatrem; nawet ponury Padella uczył w okolicy serca coś niby drgnienie litości. Jeden tylko Brodac Pancerny machał rękami i ryczał: – Huzia! Huzia! Huź! Huź! – bo nie mógł darować Różyczce, że nie chciała zostać jego żoną.

Ale – o dziwo! O cudowne zrządzenie losu! Cóż za wyjątkowy zbieg okoliczności! Jestem pewien, że nikt z was nie mógłby tego przewidzieć! Ledwie lwy dopadły Różyczki, zaczęły się łąsić do niej, merdać ogonami iomalże nie udusiły jej pieszczotami. Skomląc lizały jej bosc nóżeta i mruzczały z radości:

– Siostrzyczko, siostrzyczko najmilsza, czy pamiętasz swoich braciszków, lwiatka z ciemnego boru?

Różyczka poznała lwy od razu i objawszy białymi ramionami płowe, kudłate ich karki, tuliła złotą główkę do ich sierści i całowała gorąco swoich mlecznych braci.

Król Padella oczom własnym nie wierzył, a Brodac Pancerny trząsł się z oburzenia.

– To drwiny! to oszustwo! – krzyczał wymachując pięścią. – Albo lwy są oswojone, albo też Wasza Królewska Mość błaznów dworskich kazał przebrać w lwie skóry i myśli, że się damy wystrychnąć na dudków. To nie są lwy, to błazeństwo!

– Dam ja ci błazeństwo! Dam ja ci oszustwo! – ryknął Padella. – Hej, dozorca! Hej, gwardziści moi! Daj, Brodacz, radę przynajmniej jednej z tych bestii... zostawić mu miecz, tarczę i pancerz, zobaczymy, czy da sobie z lwami radę!

Brodacz Pancerny włożył lornetkę w futerał i jednym błyskiem strasznych oczu wstrzymał gwardzistów, gotowych już-już rzucić się na niego.

– Na świętego Bramarbasa! – ryknął okropnym głosem. – Precz, kundele, ode mnie, bo jakem Brodac Pancerny, poszatkuje was na kapustę! Wasza Królewska Mość sądzisz, że Brodac Pancerny się boi? Kpię sobie ze stu tysięcy takich lwów! Zejdź ze mną na arenę, Padello! Ha! Ha! Nie śmiesz, Padello? Dobrze, niech więc oba idą na mnie! – Silnym pchnięciem potężnej pięści otworzył żelazną kratę i skoczył w sam środek areny.

I w jednej chwili – w jednym okamgnieniu:

Wrrr – wrrr – wrrr – hau – hau – wrr –

Kłapnęły strasznie lwie kły

I Brodac Pancerny

został pożarty

cały – caluteńki

z pancerzem, hełmem, brodą –

i kaput!

Już było po nim!

A król Padella wykrzyknął radośnie:

– No, pozbyłem się nareszcie tego bandyty. Skoro jednak lwy nie chcą pożreć tej białogłowy...

– Łaski! Łaski! – zakrzyczał tłum.

– Żadnej łaski! – wrzasnął Padella. – Hej, straż, na arenę i roznieść ją na szablach! A gdyby lwy chciały jej bronić, zastrzelić je. Albo nie, wziąć ją żywcem i poddać torturom!

– Hańba! Hańba! – ryczał tłum.

– Kto śmie tu wołać „hańba”? – wykrzyknął Padella drżący z wściekłości (tyrani zwykle nie umieją panować nad swymi namiętnościami). – Pierwszego łotra, który jedno słowo piśnie, schwytać i cisnąć na arenę!



W cyrku zapanowała tak śmiertelna cisza, że wyraźnie słyszało się wściekłe sapanie monarchy. Nagle jednak tru-tu-tu-tu! – rozległ się dźwięk rogu. Ram, bam, bam, ram, bam, bam, dzień, dzień, dzień! – zadudniły ciężkie kopyta końskie, zadźwięczała żelazna zbroja i u wejścia wiodącego do cyrku ukazał się rycerz na koniu, poprzedzony przez herolda.

Rycerz był w pełnej zbroi, przyłbicę miał podniesioną i niósł zatknięty na końcu lancy list.

– Kogo widzę! – wykrzyknął król. – Wszakżeż to poseł mego kuzyna, króla paflagońskiego, a wąsaty ten rycerz, jeśli mnie oczy nie mylą, to kapitan Zerwiłbski! Bliżej, bliżej, przyjacielu... Cóż słyhać w Paflagonii, dzielny mój Zerwiłbski? Przestań już trąbić, heroldzie, bo jeśli tak dmiesz w róg swój, odkąd opuściłeś dwór paflagoński, musiało ci już dobrze zaschnąć w gardle. Mówcie, czego byście się napili: miodu czy wina?

– Zanim skorzystamy z zaproszenia Waszej Dostojności – rzekł dobitnie kapitan Zerwiłbski – musimy wypełnić zlecenie naszego Pana i Króla.

– Waszej Dostojności? – rzekł władca krymtatarski marszcząc groźnie brew. – Zaiste, dziwnie brzmi ten tytuł. Spiesznie wypełnijcie poselstwo wasze, heroldzie i kapitanie, bo nie na długo starczy mi cierpliwości.

Kapitan Zerwiłbski skierował rumaka swego pod królewską lożę, zrećnie osadził go w miejscu i skinął na herolda. Rycerz zagrał na rogu, po czym przewiesił go przez ramię, wyjął spod kapelusza ćwiartkę papieru i zaczął:

– Słuchajcie! Słuchajcie! „My z Bożej łaski Lulejka I, król Paflagonii, Wielki Książę Kapadocji, Trapezuntu i Akrobatonii, obejmujemy w posiadanie z prawa i tytułu należący do nas tron królewski, nieprawnie, w zradziecki sposób zagarnięty przez naszego stryja, Waloroze, nikczemnego uzurpatora, mianującego się królem Paflagonii.”

– Ach!... – zgrzytnął zębami Padella.

– „...Jako też wzywamy Padellę, zdrajcę, bezprawnie mianującego się królem Krymtatarii...”

Trudno opisać wściekłość króla.

– Dalej, heroldzie! – krzyknął nieustraszony Zerwiłbski.

„...by niezwłocznie wypuścił z więzienia i osadził na krymtatarskim tronie królową Różyckę, córkę podstępnie zamordowanego króla Kalafiore, w przeciwnym bowiem razie my, Lulejka I, nazwiemy wyżej wymienionego Padellę złodziejem, zdrajcą, uzurpatorem, oszustem i tchórzem. Niniejszym wzywamy go również, by zmierzył się z nami w pojedynku na pięści lub pistolety, miecze lub kije, by wyszedł przeciwko nam w pole, sam lub na czele wojska. Wyzwanie niniejsze podpisać pragniemy krwią jego, a przypieczętować jego życiem.”

– Niech żyje król Lulejka II! – krzyknął kapitan Zerwiłbski stając w strzemionach i zwracając koniem w miejscu.

– Skończyłeś?... – zapytał Padella usiłując sztucznym spokojem pokryć miotającą nim wściekłość.

– Poselstwo naszego króla skończone – odparł kapitan Zerwiłbski. – Oto jest własnoręczny list Jego Królewskiej Mości oraz jego rękawica... Gdyby którykolwiek z rycerzy krymtatarskich miał cokolwiek pismu mego pana do zarzucenia, każdej chwili i każdego czasu mogę mu dać satysfakcję. – To mówiąc kapitan wyprostował się i powiódł wzrokiem dokoła. Ani jeden głos nie podniósł się w obronie Padelli.

– Jakież stanowisko zajął wobec pretensji swego bratanka mój kuzyn i teść syna mego, drogi sercu naszemu król Waloroze?

– Stanowisko jeńca wojennego – odparł kapitan. – Stryj Jego Królewskiej Mości został strącony z tronu, który w zradziecki sposób sobie przywłaszczył, i czeka w więzieniu na wyrok Najjaśniejszego Pana, w towarzystwie eks-ministra Mrukiozy. Po bitwie pod Bombardarą...

– Po bitwie pod Bomb...? – zapytał zaskoczony Padella.

– Pod Bombardarą, gdzie Król i Pan mój byłby zapewne dokazał cudów waleczności, gdyby nie ta okoliczność, że cała armia byłego króla Walorozy przeszła pod jego komendę z wyjątkiem chorągwi księcia Bulby...

– Ha, poznaję mego syna! Bulbo mój nie zhańbił swego rodu, nie został zdrajcą! – wykrzyknął wzruszony Padella.

– Księżę Bulbo bowiem, dowiedziawszy się o wystąpieniu króla Lulejki, rzucił się z chorągwią swoją do ucieczki... Dopędziłem go jednak i oddałem w ręce króla jako jeńca i zakładnika. Najjaśniejszy Pan polecił mi oznajmić Waszej Dostojności, że księżę Bulbo będzie poddany najokrutniejszym torturom, jeśli bodaj jeden włos spadnie z głowy królowy Różyczki.

– Co?! – ryknął Padella posiniały z wściekłości. – Tortury? Wielka mi rzecz. Tortury! Tym gorzej dla Bulby. Mam dwudziestu takich synów jak Bulbo i każdy w sam raz tak się nadaje na następcę tronu jak on! Bijcie go, męczcie, wydłubujcie mu oczy, wbijajcie go na pal, drzyjcie z niego żywcem pasy, wrywajcie mu zęby jeden po drugim. Droższy nad źrenicę oka mego jest mi mój syn pierworodny, ale droższa jeszcze jest mi zemsta! Hej, siepacze! Hej, oprawcy! katy! Rozpalić ogień i mieć szczypcę w pogotowiu. Kocioł napełnić wrzącym ołowiem! Nuże, bierzcie się do tej dzierlatki!...

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

### *Kapitan Zerwiłbski powraca do króla Lulejki*

Usłyszawszy straszliwy rozkaz Padelli, mężny kapitan zawrócił rumaka i wyciągniętym galopem pomknął ku granicy paflagońskiej. Misja, którą mu poruczył król, była już spełniona. Żal mu było niezmiernie królowy, ale czyż mógł przeszkodzić temu, co ją czekało?

Przybywszy do obozu Lulejki, czym prędzej pośpieszył do namiotu królewskiego, w którym młody monarcha oczekiwał jego powrotu z największym niepokojem. Podniecenie jego wzmoгло się jeszcze, gdy kapitan opowiedział mu, jaki wynik dało poselstwo.

– Ach, łotr nikczemny! – wykrzyknął Lulejka. – Powiedz, powiedz mi, drogi kapitanie, bo myśli mi się w głowie płaczą, czy nie mówi w którymś z wierszy jeden z wielkich naszych wieszczów: „O, jakim łotrem jest mąż, co na kobietę dłoń podnosi.”

– Ach, tak właśnie mówi – przytaknął pocziwy Zerwiłbski.

– Czy byłeś przy tym, gdy mą ukochaną w kocioł z roztopionym ołowiem rzucono? Czyżby na ognia żar i na ołowiu war nie działał wcale anielskiej jej postaci czar? Ach, mów, kapitanie, czy mogłeś patrzeć na jej konanie?

– Na honor mój rycerski, nie mógłbym patrzeć na śmierć tej słodkiej dziewczeczki. Wypełniwszy poselstwo Waszej Królewskiej Mości zawróciłem czym prędzej, by tobie, Miłościwy Panie, dać odpowiedź. Mówiłem Padelli, że Bulbo, pierworodny syn jego, życiem za życie królowy zapłaci. W odpowiedzi rzekł: „Na dworze moim mam dwudziestu synów, z których każdy tyle wart co i Bulbo.” Po czym rozkazał nieludzkim siepaczom zabrać się do roboty.

– Nieludzki ojcze! Nieszczęśliwy synu! – zawołał Lulejka. – Hej, służba! Niech idzie który i przyprowadzi mego jeńca, księcia Krymtatarii Bulbę!

Pod eskortą dwóch żołnierzy nadszedł książę Bulbo.

Bulbo był bardzo zadowolony z niewoli, bo nie potrzebował turbować się o nic i nie słyssał nieustannego zgiełku i wrzawy wojennej. Na rozkaz królewski przerwał na chwilę partijkę gry w guziki, którą się zabawiał ze strażą od rana do wieczora.

– Biedny mój Bulbo – zaczął król obrzucając swego jeńca spojrzeniem pełnym współczucia. – Muszę podzielić się z tobą bardzo smutną wiadomością (jak widzicie, Lulejka oględnie przygotował Bulbę do tego, co miał usłyszeć). Krwiożerczy rodzic twój skazał na śmierć królową Różyczkę, to jest Rózię, Rózię zamordować rozkazał. Tak, mój książę Bulbo!

– Zamordować Rózię? Bu-u-u! – ryknął płaczem Bulbo. – Naszą śliczną, słodką Rózięńkę! Na całym świecie nie ma miłszej dziewczeczki od niej, tysiąc tysięcy razy wolę ją od Angeliki!

Rozpacz Bulby była tak szczerą, a sposób wyrażania jej tak pełen prostoty, że rozrzewnił Lulejkę serdecznie. Toteż król uścisnął dłoń swego więźnia i powiedział mu, że do najmiłszych chwil w życiu swoim zaliczać będzie zawsze tę, w której poznał dzielnego kawalera Bulbę.

Pocziwy Bulbo zaproponował Lulejce, że będzie gwoli pocieszenia go w nieszczęściu wraz z nim palił papierosy. Lulejka zgodził się na to chętnie i zaraz poczęstował nimi Bulbę. Bulbo nie mógł się nimi dość narozkoszować, bo odkąd go więziono, nie miał jeszcze papierosa w ustach.

Możecie sobie wyobrazić, jak przykro było Lulejce, najlitościwшему z panujących, zawiadamiać Bulbę o czekającej go śmierci. Wyjaśnił mu w najserdeczniejszych słowach, że

wobec zachowania się Padelli względem Różyczki nic innego nie pozostaje mu, jak jego, Bulbę, posłać na rusztowanie.

Lulejka rozplakał się przy tych słowach, grenadierzy rozplakali się także i oficerowie także, a najgłośniej płakał biedny Bulbo. Ale Bulbo, wychowany na królewskim dworze, dobrze rozumiał, że słowu królewskiemu musi stać się zadość i że nie pozostaje mu nic innego, jak pogodzić się z losem. Wyprowadzono więc biednego Bulbę z królewskiego namiotu, a kapitan Zerwiłbski, który go eskortował, próbował go pocieszyć, napomykając, że gdyby Bulbo był wygrał bitwę pod Bombardarą, byłby mógł powiesić Lulejkę.

„Ach, co mi to teraz pomoże?...” – myślał Bulbo.

I rzeczywiście, w owej chwili niewiele to pomóc mogło biedakowi.

Przed zamknięciem go w lochu oświadczono mu, że stracenie jego nastąpi nazajutrz z rana o godzinie ósmej. Wszyscy usiłowali mu osłodzić ostatnie chwile życia. Żona dozorca więziennego posłała mu herbaty z doskonałym arakiem, a córka odźwiernego poprosiła go uprzejmie o wpisanie jakiegoś wierszyka do jej pensjonarskiego albumu. Wielu już godnych panów zrobiło jej tę przyjemność w podobnych jak ta okolicznościach.

– A idźże, panna, do diaska ze swoim albumem! – odpowiedział jej Bulbo.

Przedsiębiorca pogrzebowy wziął miarę na najpiękniejszą i najdroższą trumnę, jaką u niego nabyć było można. Ale i to nie pocieszyło Bulby.

Kucharz przyniósł najlepsze potrawy – więzień nawet nie spojrzął na nie. Usiadł przy stole i zaczął pisać ostatni list do młodej swej małżonki, Angeliki, podczas gdy zegar tykał nieustannie, znacząc wskazówką zbliżanie się fatalnej godziny...

Późnym już wieczorem zapukał jeszcze miejski balwierz, zapytując, czy księżę Bulbo nie zechciałby się ogolić przed jutrzejszą uroczystością; ale Bulbo wyrzucił go za drzwi energicznym kopnięciem. I znowu usiadł pragnąc sklecić bodaj parę stów, ale przeszkadzały mu wskazówki zegara posuwające się z nieubłaganą jednostajnością naprzód i ciągle naprzód. Bulbo porwał się nagle z krzesła, podbiegł do łóżka, ustawił je na stole, na łóżku ustawił stółek, na nim jeszcze pudełko tekturowe od kapelusza i wdrapawszy się na tę piramidę wspiał się na końce palców i wyjrzał oknem, chcąc się przekonać, czy nie dałoby się umknąć z więzienia. Łatwiej było jednak wyrzeć przez okno aniżeli przez nie wyskoczyć – a zegar niezmordowanie posuwał się i posuwał naprzód.

Usłyszawszy, że na wieży miejskiej bije godzina siódma, Bulbo przypomniał sobie, że nie spał wcale tej nocy, więc położył się na łóżku, żeby podrzemać po raz ostatni, ledwie jednak zamknął oczy, wszedł dozorca więzienny i rzekł: – Niech Jego Wielmożność raczy wstać, bo za dziesięć minut ósma.

Bulbo wstał, a że nie rozbierał się wcale, więc się i ubierać nie potrzebował. Nie chciał nawet zjeść śniadania, tylko, ujrawszy grenadierów mających go eskortować na plac egzekucji, powiedział smutnie: – Idźcie naprzód – po czym ponury pochód ruszył. Najstarsi żołnierze nie mogli wstrzymać się od płaczu i łzami skrapiali obficie drogę.

Koło rynku, na którym ustawiono rusztowanie czekał na Bulbę król Lulejka, który chciał pożegnać go po raz ostatni i królewskimi słowami dodać mu otuchy w tej ciężkiej dla niego godzinie. Zapewniam was, że Lulejka uczynił to w serdeczny i tkliwy sposób. Bulbo dochodził już do rusztowania, gdy wtém... czy słyszycie?

– Hau, hau, wrrr – wrrr, wrr-wrrr, wrr – rozległ się ryk dzikich bestii. Ulicznicy i policjanci rozpierzchli się w popłochu, bo oto w pełnym galopie ukazał się najpierw jeden, a potem drugi olbrzymi lew z królową Różyczką na grzbiecie!

Posłuchajcie, co się stało! W czasie gdy kapitan Zerwiłbski rozprawiał się z królem Padellą, mądre lwy wypadły z areny ku bramie, połknęły sześciu strażników stojących u wejścia, porwały Różyczkę i, kolejno niosąc ją na grzbietach, pognały ku obozowi Lulejki.

Możecie sobie wyobrazić, z jaką radością pomógł Lulejka Jej Królewskiej Mości zsiąść z tego dziwnego rumaka. Lwy utuczyły się na strażnikach i na Brodaczku Pancernym jak wie-

przki i zrobiły się tak łagodne, że każdy mógł je pogłaskać. Lulejka przykląkł na jedno kolano i całował ręce swej ukochanej, a Bulbo objął oba lwy za szyje i całował je w pyski, i tulił się do ich królewskich łbów płacząc i śmiejąc się na przemian z radości. – Och, zwierzaki moje pocziwe, jakżem rad, że widzę was i że widzę Rózień... królową Rózyckę!

– Ach, waszmość tutaj, biedny księżę Bulbo? Jakżeż się cieszę, że widzę waszmości – rzekła królowa podając mu drobną dłoń do pocałowania.

Lulejka poklepał przyjaźnie Bulbę po ramieniu i rzekł:

– Cieszę się serdecznie, że Jej Królewska Mość przybyła dość wcześnie, by cię ocalić od śmierci.

– Oj, i ja się cieszę, oj, cieszę się! – wykrzyknął Bulbo.

W tej chwili zbliżył się kapitan Zerwiłbski i salutując po wojskowemu, oznajmił:

– Najjaśniejszy Panie, melduję pokornie, że zegar zamkowy wybił pół do dziewiątej, czas najwyższy rozpocząć egzekucję.

– Egzekucję? Jaką znowu egzekucję? – zapytał przestraszony Bulbo.

– Oficer trzyma się ściśle rozkazu – odparł kapitan wyjmując z zanadru rozkaz stracenia Bulby, ale Jego Królewska Mość roześmiał się serdecznie i wytłumaczył kapitanowi, że Bulbo nie jest już jego jeńcem, tylko gościem, po czym, pełen dobrotliwej łaskawości, zaprosił swego eks-jeńca oraz kapitana na śniadanie.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

### *Jak się rozegrała straszliwa bitwa i kto w niej zwyciężył*

Wściekłość króla Padelli na wieść o ucieczce Różyczki i lwów nie miała granic. Natychmiast kazał wrzucić w przygotowany kocioł z wrzącym ołowiem Wielkiego Kanclerza, Wielkiego Ochmistrza dworu i wszystkich królewskich urzędników, którzy mu się nawinęli pod rękę. Nie zdołało to jednak zaspokoić jego pragnienia krwi i zemsty. W mig powołał pod broń piechotę, konnicę, artylerię i wyruszył w pole na czele nieprzeliczonych tłumów wojska. Dość powiedzieć, że samych doboszów i trębaczów było ponad dwadzieścia tysięcy.

Naturalnie, że warty Lulejki doniosły mu natychmiast o nadciągającym nieprzyjacielu. Ale Lulejka był zbyt dobrze wychowanym młodzieńcem, by niepokoić królową, bawiącą u niego w gościnie, przedwczesnymi alarmami wojennymi. Pragnąc uprzyjemnić jej pobyt w obozie, wydał na jej cześć śniadanie i wyprawił wspaniałe i huczne przyjęcie, a wieczorem urządził wspaniały bal, na którym przez cały czas z nią jedną tylko tańczył.

Pocziwy Bulbo, przywrócony do łaski, był także w liczbie zaproszonych. Król odnosił się do niego z nadzwyczajną łaskawością, ofiarował mu kilka nowych garniturów i publicznie nazywał go „kochanym kuzynem”. Mimo to jednak Bulbo nie czuł się szczęśliwy, przeciwnie, widać było, że jest bardzo biedny. A wiecie, co było przyczyną jego smutku? Naturalnie, tajemnicze działanie zaczarowanego pierścienia, który Różyczka nosiła na palcu. Ujrawszy królową w prześlicznej balowej sukni Bulbo zapłonął ku niej znowu szaloną miłością i najzupełniej zapomniał, że w domu pozostawił żonę, Angelikę, która zresztą, prawdę mówiąc, nie bardzo o nim pamiętała.

Właśnie Lulejka przetańczył dwudziestą piątą turę polki z Różyczką, gdy nagle spojrzawszy na mały paluszek narzeczonej, spostrzegł na nim ze zdumieniem dobrze znaną obrączkę, którą niegdyś ofiarował Angelice. Na pytanie, skąd ma tę obrączkę, Różyczka odpowiedziała, że otrzymała ją w upominku od Gburii-Furii.

Rozmowę ich słyszała Czarna Wróżka, która właśnie przybyła do nich w gościnę. Więc podeszła ku młodej parze i rzekła:

– Tak jest, Lulejko, obrączka ta jest tą samą obrączką, która czas jakiś była w twoim posiadaniu. Ongi, przed wielu już laty, ofiarowałam ją królowej matce twojej, która – nie weź mi za złe tej uwagi – nie bardzo była rozsądna! Pierścionkowi temu nadałam cudowną własność czynienia uroczą osoby, która go nosi na palcu. Różę o podobnej własności posiadał i biedny Bulbo. Dopóki nosił ją na piersi, wydawał się wszystkim przystojny, później jednak oddał ją Angelice i odtąd żona jego zadziwia wszystkich urodą, a on jest takim samym brzydalem, jakim był dawniej.

– Królowna Różyczka nie potrzebuje zaczarowanego pierścionka, by w oczach moich być najpiękniejszą z pięknych – rzekł z galanterią Lulejka i pochylił czoło przed narzeczoną w głębokim, pełnym czci i miłości pokłonie.

– Ach, królu!... – szepnęła Różyczka.

– Miłościwa Pani, dozwólcie słudze waszemu zdjąć gwoli próby pierścień ten z waszego paluszka – powiedział żartobliwie Lulejka, a gdy królowna wyciągnęła ku niemu rączkę, szybko zsunął obrączkę z jej palca.

I jak przeczuwał, żadna zmiana nie zaszła w Różycze. Dla zakochanego w niej Lulejki Różyczka była równie czarująca jak przedtem.

Obawiając się jednak niebezpiecznej władzy pierścionka król zamierzał go wyrzucić, gdyż nie chciał, żeby wszyscy mężczyźni kochali się w jego przyszłej żonie – ale w tej chwili wzrok jego padł na biednego Bulbę stojącego nie opodal i spoglądającego na Różyczkę żalownie.

Lulejka był dziś w wyjątkowo dobrym humorze; żal mu się zrobiło biedaka, więc wyciągnął doń rękę z pierścionkiem i rzekł:

– Spróbuj, Bulbo, czy ta obrączka przyda ci się na co. Królowna Różyczka oddaje ci ją na własność.

Czarodziejska moc pierścionka była zaiste zdumiewająca.

Zaledwie Bulbo włożył go na palec, od razu wydał się wszystkim zupełnie innym niż przed chwilą. Teraz był wcale przystojnym młodzieńcem o miłej, pulchnej twarzy i pięknie falujących się jasnych włosach. Trochę był zanadto przysadkowaty i krępy i nogi miał nieco krzywe, ale któż by na to zwracał uwagę, skoro były opięte w safianowe kamasze, tak śliczne, że budziły powszechny podziw! Bulbo przejrzał się w lustrze i natychmiast nabrał otuchy i humoru. Zaczął wesoło rozmawiać z Ich Królewskimi Mościami, a do kadryła zaprosił najpiękniejszą damę dworu. Ponieważ tańczył naprzeciw Różyczki, miał sposobność przyjrzeć się jej dokładnie i po chwili szepnął do swej tancerki:

– Dziś dopiero widzę, że królowna, jakkolwiek bardzo ładna, nie jest jednak klasyczną pięknnością.

– O, zupełnie nie jest pięknnością – śpiesznie potwierdziła dama dworu.

Królowna usłyszała widocznie tę rozmowę, bo uśmiechnąwszy się z nieopisanym wdziękiem do króla rzekła;

– Jakżeż mi to obojętne, że nie podobam się innym, skoro Wasza Królewska Mość uważa mnie za piękną!

Lulejka odpowiedział jej spojrzeniem pełnym takiego zachwyty i miłości, że żaden malarz oddać by go na pewno nie potrafił. Czarna Wróżka zbliżyła się wtedy do nich.

– Szczęść wam Boże, drogie moje dzieci – powiedziała serdecznie. – Otoście wreszcie złączeni uczuciem i szczęśliwi na całe życie. Teraz sami przyznacie zapewne, że odrobina niedoli, którą wam w darze ofiarowałam, wyszła wam obojgu na dobre. Gdyby Lulejka nie zaznał był trochę biedy, byłby zapewne do dziś dnia nie umiał pisać ani czytać. Byłby zgnuśniał do reszty w próżniaczym życiu, jakie wiódł na królewskim dworze, i nie byłby nigdy dobrym, rozumnym królem. I ty, Różyczko, byłabyś uwierzyła pochlebstwom dworaków i nie umiałabyś ocenić uczucia Lulejki, jak nie oceniła go Angelika, której się wydawało, że Lulejka jest niegodzien jej ręki.

– Ach, czyż on mógłby być kogoś niegodzien? – wykrzyknęła Różyczka.

– Aniele mój najdroższy! – szepnął Lulejka i już wyciągał ramiona, by ukochaną swoją przycisnąć do piersi, gdy nagle do sali balowej wpadł goniec wołając:

– Królu! Nieprzyjacieli!

– Do broni! – zawołał Lulejka.

– Boże mój! – westchnęła Różyczka i zemdlona osunęła się na ręce dam dworu.

Lulejka wycisnął na jej ustach pożegnalny pocałunek i dając przykład zaparcia się siebie i męstwa, wypadł wprost z sali balowej na pole walki.

Ale Czarna Wróżka czuwała nad swoim chrześniakiem i obdarowała go wspaniałą zbroją, wysadzaną najkosztowniejszymi kamieniami. Nikt na nią nie mógł patrzeć bez zmrużenia powiek – taki od niej bił blask!

Zbroja ta była nieprzemakalna, ogniotrwała, a tak mocna, że każda kula, każde cięcie szabli, każde pchnięcie lancy czy dzidy odbijało się od niej jak gumowa piłka. Toteż nie dziwota, że król w najgorętszym ogniu czuł się tak swobodny i wesoły jak w balowej sali. Gdyby mi

kiedy przyszło wojować, to chętnie wdziałbym na siebie zbroję królewicza Lulejki. Ale, widzicie, Lulejka był królewiczem z bajki, a tacy królewicze zawsze dostają jakieś nadzwyczajne podarunki od swoich chrzestnych matek.

Oprócz tej ślicznej zbroi otrzymał jeszcze Lulejka Siwka-Złotogrzywka, który mógł nieść tak szybko, jak dusza pragnęła, i miecz czarodziejski, mający tę własność, że mógł się wydłużać w nieskończoność i przebić jednym pchnięciem cały pułk żołnierzy. Dziwię się Lulejce, że mając taką zbroję, takiego konia i taki miecz kazał jeszcze wojsku swemu stawać do walki; przecież mógł wszystkich wrogów pozabijać od razu. Dość jednak, że armia Lulejki wyruszyła w nowych, paradnych mundurach, pod dowództwem kapitana Zerwiłbskiego i poruczników Paliwody i Bałagudy. Naczelne kierownictwo nad całym wojskiem objął naturalnie sam król Lulejka.

Teraz powinien bym wam opisać straszną bitwę, jaka się rozegrała między wojskiem krymtatarskim i paflagońskim; powinien bym natchnionymi słowy oddać szczerą kopii i pałaszów zadających krwawe, śmiertelne rany, huk pękających bomb i granatów, ryk armat, impet kawalerii szarżującej piechotę oraz piechoty bijącej kawalerię, grzmot trąb, warkot bębnow, ponoszenie rumaków, gwizd przeciągły piszczałek, wrzaski rannych, triumfalne okrzyki zwyciężających i donośną komendę:

– „Naprzód, wiarusy!”, „Bijcie, Paflagończycy!”, „Śmierć Padelli! Niech żyje nasz król Lulejka!”, „Wiwat Padella!”, „Życie za ojczyznę!...” Jak bardzo pragnąłbym opisać to wszystko w jak najwspanialszym języku! Niestety... skromne pióro moje nie potrafi odtworzyć należycie przebiegu tej wielkiej bitwy i wrzawy wojennej, więc powiem wam tylko, że Padella otrzymał cięgi, na jakie zasłużył.

Widząc, że wojsko jego idzie w rozsypkę, okrutny Padella, pod którym ubito już dwadzieścia pięć czy dwadzieścia sześć koni, silnym pchnięciem dzidy wyrzucił z siodła naczelnego dowódcę wojsk swoich, generała Suszyrumowa, i dosiadłszy jego rumaka zaczął uciekać co sił. Ale choć koń Padelli leciał jak wichler, Lulejka, galopujący na Siwku-Złotogrzywku, biegł tuż-tuż za nim, krzycząc: – Poddaj się, zbójku nikczemny! Tchórze! Potworze! Poddaj się w tej chwili, bo mieczem moim zetnę twój łeb obmierzły i strącę zeń skradzioną koronę!

Słowom tym towarzyszyły raz po raz pchnięcia miecza, który, wydłużając się podług woli Lulejki, raz po raz kłuł Padellę w niższe części pleców tak boleśnie, że tchórzliwy tyran ryczał z bólu, wściekłości i przerażenia.

Widząc, że Lulejka przystanął na chwilę, Padella zawrócił nagle i berdyszem trzymany w rękę, którym dnia tego nie wiem już ile pułków rozbił i na drugi świat wyprawił, straszliwie ciał młodego króla przez głowę. No i co powiecie? Na hełmie Lulejki od uderzenia tego pozostał ślad taki, jak gdyby kulka masła uderzyła w niego. Berdysz roztrzaskał się na drobne kawałki, a Lulejka zaśmiał się szydlerczo. Widząc, że żadna siła nie może zwalczyć Lulejki, Padella powiedział do niego:

– Skoro masz czarodziejską zbroję, czarodziejski miecz i czarodziejskiego konia, to po cóż, do kroćset, będę bił się z tobą? Wolę poddać się od razu, myślę jednak, że Wasza Królewska Mość nie będzie tak nikczemny, by mścić się na biednym człowieku, który już niczym bronić się nie może.

Trafność tej uwagi natchnęła Lulejkę uczuciem wspaniałomyślności. – Poddajesz się więc, Padello? – zapytał.

– Oczywiście.

– Czy gotów jesteś zwrócić wszystkie zagrabione skarby i uznać królową Różyckę prawowitą władczynią krymtatarskiego państwa?

– Cóż mam robić? Muszę ją uznać – odparł Padella, ale widać było, że jest w bardzo złym humorze.

Wobec takiego oświadczenia Lulejka skinął na swoich towarzyszy i rozkazał związać Padellę. Obrócono go twarzą do końskiego ogona, związano mu nogi pod brzuchem szkapę, a



ręce na plecach, po czym odbył się triumfalny pochód Lulejki ku stolicy Paflagonii. Padella paradował na swym koniu w pochodzie, potem zaś zamknięto go w tym samym więzieniu, w którym parę dni przedtem przebywał syn jego Bulbo.

Wierzcie mi, że Padella mocno stracił na fantazji w więzieniu i jak o łaskę największą prosił, by dopuszczono do niego jego ukochanego pierworodnego syna, najdroższego Bulbę. Pożyciwy książę, współczując niedoli ojca, nie czynił mu wyrzutów z powodu uporu i zaciętości, z jaką go Padella niedawno chciał wydać na śmierć, byle nasycić pragnienie zemsty nad niewinną Różyczką; odwiedził go nawet i rozmawiał z nim przez zakratowany otwór w drzwiach więzienia. Wejście do wnętrza było surowo wzbronione. Zaczny Bulbo przyniósł nawet w papierku parę kanapek, obłożonych kawiozem i marynatą z łososia, ze wspaniałego bankietu, którym Jego Królewska Mość święcił odniesione nad wrogiem zwycięstwo.

– Nie mogę, papo, zabawić dziś dłużej przy tobie – rzekł podając Padelli przyniesione kanapki – bo zaraz rozpoczynam kadryla, do którego raczyła mnie zaprosić Jej Królewska Mość. Bywaj zdrów, papo, słyszę, że muzykanci grać zaczynają.

I okrągły Bulbo, odziany w strój balowy, pobiegł szybko ku sali balowej, a Padella jadł jedną kanapkę po drugiej, obficie skrapiając je łzami.

Rozpoczęły się teraz zabawy, bale, iluminacje, którymi Lulejka chciał uczcić swoją narzeczoną Różyczkę.

We wszystkich wsiach, przez które przeciągano zmierzając do Paflagonii, nakazano chłopom iluminować chałupy w nocy i we dnie, rzucać kwiaty pod kopyta rumaków królewskich. Mieszkańcy Krymtarii musieli, i zapewniam was, że czynili to chętnie, suto ugaszczać zwycięzców paflagońskich winem i jadłem; żołd wypłacano żołnierzom z olbrzymich łupów zdobytych na Padelli, w którego obozie znaleziono nieprzeliczone skarby. Gdy już żołnierze krymtatarscy oddali Paflagończykom wszystko, co mieli cenniejszego, pozwolono im łaskawie zawrzeć sojusz ze zwycięzcami i obie armie, połączone pod berłem Lulejki, wolnym marszem podążyły ku Blombodyndze.

Sztandary obu narodów powiewały obok siebie w najlepszej zgodzie. Kapitan Zerwiłbski został mianowany księciem i feldmarszałkiem. Porucznicy Bałaguła i Paliwoda otrzymali stopnie generalskie wraz z tytułem hrabiowskim. Wiele mężnych piersi ozdobiły rączki królowej Krymtarii Orderem Brylantowej Dyni i paflagońskim Orderem Złotego Ogórka. Amazonka Różyczki przepasana była wstęgą paflagońskiego Orderu Ogórka. Lulejka zaś nie ukazywał się nigdy publicznie bez Orderu Brylantowej Dyni pierwszej klasy. Na widok królewskiej pary lud wznosił entuzjastyczne okrzyki. Naturalnie głoszono wszędzie, że Lulejka i Różyczka są najpiękniejszą parą naręczonych, jaką kiedykolwiek widziano. I byli naprawdę bardzo piękni oboje, a uroku dodawała im radość i szczęście tryskające z ich młodzieńczych twarzy. Naręczeni nie rozłączali się od rana do wieczora. Siedzieli obok siebie przy śniadaniu, obiedzie i wieczerzy, razem wyjeżdżali na konne wycieczki i już to zabawiali się rozmową, już to przykładem swoim zachęcali wszystkich do najweselszych zabaw i piasów.

Późnym wieczorem rozchodzili się. Różyczkę odprowadzały do komnat niewieścich te same dawne damy dworu, które opuściły ją dzieckiem, a teraz, po pogromie Padelli, skupiły się znowu wokół niej; Lulejce towarzyszyli do kawalerskiego apartamentu jego adiutanci i paziowie.

Ślub młodej pary miał się odbyć zaraz po przybyciu do stolicy Paflagonii. Lulejka już wysłał nawet feldmarszałka Zerwiłbskiego z listem do arcybiskupa Blombodyngi, w którym prosił Jego Eminencję, by przygotował wszystko do mającej się odbyć uroczystości. Zerwiłbski wyjechał o parę dni wcześniej i osobiście dopilnował, by pałac królewski przemalowano i przystrojono na przyjęcie młodej pani. Przy tej sposobności zmusił uwięzionego eksministra Mrukiozę do zwrócenia skarbcowi królewskiemu dwustu siedemnastu tysięcy milionów dziewięciuset siedemdziesięciu ośmiukroć stu tysięcy czterystu dwudziestu dziewięciu dukatów, trzynastu złotych i sześćdziesięciu sześciu groszy, które, jak wiemy, Mrukiozo

skradł niegdyś z sypialni nieboszczyka króla Seriozy. Uwięził także zdetronizowanego króla Walorożę, a gdy był monarcha czynił z tego powodu byłemu swemu kapitanowi gorzkie wyrzuty, feldmarszałek i książę Zerwiłbski odparł:

– Żołnierz musi się ściśle trzymać rozkazu. Najjaśniejszy Pan polecił mi odwieźć Waszą Wysokość do więzienia, w którym przebywa były król Krymtatarii Padella I. – Tak się też stało.

Obie Królewskie Moście oddano na rok do zakładu poprawczego, a później do najsurowszego zakonu Braci Biczowników, gdzie do końca życia pozostali, poddawani codziennym postom i częstej chłóście, którą sobie wzajemnie z pokorą, ale i z energią należyłą wymierzali; pokutowali choć w części za dawniejsze winy i zbrodnie, popełniane jawnie i skrycie.

Hultaj Mrukiozo został skazany na dożywotnie galery i ku wielkiemu swemu zmartwieniu do końca dni swoich nie miał już sposobności do kradzieży.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

### *Stara Gburia-Furia panną młodą*

Wiadomo wam, że Różyczka i Lulejka zawdzięczali bardzo wiele Czarnej Wróżce, która w znacznej mierze dopomogła im do odnalezienia się i odzyskania zagrabionych dziedzictw. Będąc chrzestną matką Różyczki czuwała nad nią i nadal, a zastępując jej prawdziwą matkę towarzyszyła jej do stolicy, gdzie miał się odbyć ślub małej królowny z Lulejką. Młoda para jechała we wspaniałym orszaku na najpiękniejszych rumakach, ustrojonych w najpiękniejsze czapaki. Tuż obok kłusowała Czarna Wróżka na karym kucyku (domyślcie się, że kucykiem tym była jej czarnoksięska laseczka). Zaczyna ta osoba roztaczała w dalszym ciągu opiekę nad swymi chrześniakami i w rozmowie z nimi nie szczędziła im zbawiennych rad i uwag. Ale powiem wam na ucho, że Lulejce nie bardzo w smak były te uwagi, bo w gruncie rzeczy pewien był, że tylko własnemu męstwu i genialnemu kierowaniu wojskiem zawdzięcza odzyskanie korony i pokonanie Padelli. Kto wie nawet, czy nie dał odczuć swej protektorce i opiekunce, że niewiele sobie robi z jej rad i przestróg. Czarna Wróżka kilka razy z naciskiem przypominała Lulejce, żeby rządził sprawiedliwie, żeby nie gnębił poddanych podatkami i żeby nigdy nie łamał raz danego przyrzeczenia, słowem, by był godzien tytułu rozumnego i sprawiedliwego króla.

– Ależ, droga Wróżko – wykrzyknęła Różyczka: – jakże możesz wątpić o tym, że Lulejka będzie najlepszym w świecie królem! Czyż Lulejka mógłby kiedykolwiek słowo swoje złać? Czyż Lulejka nie jest rycerzem bez skazy? Nie, nie, ty przecież tylko żartujesz! – I Różyczka spojrzała na narzeczonego wzrokiem pełnym uwielbienia, w którym czytało się wyraźnie, że Różyczka uważa Lulejkę za uosobienie wszelkich doskonałości.

– Czegóż ta Czarna Wróżka chce dziś właściwie ode mnie? – mruknął Lulejka, mocno podrażniony jej uwagami. – Czyż myśli, że bez jej przestróg nie potrafię dotrzymać raz danego słowa? Czy sądzi, że nie potrafię stać na straży swego honoru? Ta kobieta zaczyna sobie za dużo pozwalać!

– Ciszej, ciszej, najdroższy – szepnęła królowna. – Czarna Wróżka mówi to tylko z życzliwości dla ciebie. Wiesz przecież, jak nas kocha i ile zrobiła dla nas.

Zapewne Czarna Wróżka nie dosłyszała mrukliwej uwagi Lulejki, bo właśnie pozostała nieco w tyle i jechała stępą na swym karym kucyku obok poczciwego Bulby, który jechał na niedużym, dobrze spasionym osiołku. Cała armia lubiła go za jego dobre serce, humor i serdeczność, z jaką zwracał się do wszystkich. Biedny Bulbo usychał z tęsknoty za Angeliką i nie mógł doczekać się chwili ujżenia jej. Śnił o niej po nocach i pewien był, że na całym świecie nie ma piękniejszej i lepszej nad nią istoty. Naturalnie Czarna Wróżka nie odbierała mu tej złudy, choć wiedziała dobrze, że to właśnie zaczarowana róża czyni Angelikę tak piękną w jego oczach; przeciwnie nawet, chętnie mówiła z nim o jego żonie i opowiadała mu, jak korzystnie wpłynęły na zmianę przykrego charakteru księżniczki wszystkie nieszczęścia, jakie spadły na nią w ostatnich czasach. Pragnąc osłodzić Bulbie długą rozłąkę z żoną zaczynała wróżka raz po raz dosiadała laseczki, w jednej minucie robiła sto mil, w następnej była już z powrotem i przynosiła stęsknionemu Bulbie pozdrowienie od Angeliki, czym sprawiała biednemu grubasowi niewymowną radość.

Zgadujcie teraz, kto oczekiwał nadciągającego orszaku, na ostatnim popasie przed Blombodyngą, w pięknej księżęcej karecie? Oto Angelika, która dojrzawszy z daleka Bulbę, jak ptak frunęła ku niemu i rzuciła się w jego ramiona okrywając go tysiącnymi pocałunkami. W przelocie zdążyła jednak dygnąć przed królewską parą, jak tego wymagał ceremoniał dworski. Dzięki działaniu zaczarowanego pierścienia Bulbo wydawał się jej wprost czarujący, a że i ona przypięła do kapelusika czarodziejską różę Czarnej Wróżki, więc nie dziw, że wydawała się Bulbie prześliczna. Po prostu oboje byli sobą zachwyceni.

Sute śniadanie czekało już na królewską parę i jej dwór. W śniadaniu tym wzięli udział: Wielki Kanclerz, feldmarszałek Zerwiłbski, hrabina Gburia-Furia i wiele jeszcze innych panów i pań. Czarna Wróżka siedziała po lewej stronie króla, naprzeciw Bulby i Angeliki.

Wszystkie dzwony biły radośnie z wież kościelnych, zewsząd dochodziły wiwaty wznoszone na cześć króla i królowej. Raz po raz rozlegały się wystrzały z armat i moździerzy. Cały naród cieszył się i radował.

– Popatrz, Różyczko, co za karykaturę zrobiła z siebie ta stara Gburia-Furia – szepnęła Lulejka.

– Nie, naprawdę, ona jest arcykomiczna! Czyś ty ją zaprosiła na druhnę, kochanko? – żartował.

Gburia-Furia siedziała na wprost Lulejki, między arcybiskupem a Wielkim Kanclerzem. Trudno sobie wyobrazić, jak śmiesznie wyglądała w głęboko wyciętej białej atlasowej sukni, okryta długą, lekką jak mgła zasłoną, spływającą jak ślubny welon z jej głowy zdobnej w miernie nastroszoną fryzurę, na której czubku upięła wianuszek róż. Żółtą, pomarszczoną jej szyję otaczały liczne bezcenne diamenty. Gburia-Furia nie przestawała rzucać spoza wachlarza tak kokieteryjnych spojrzeń ku Lulejce, że młody monarcha z trudem powstrzymywał się od śmiechu.

– Jedenasta! – zawołał usłyszawszy jedenaście potężnych uderzeń zegara wieżowego w Blombodyndze. – Panie i panowie, jedziemy dalej! Ojczy Biskupie, Wasza Eminencja raczy łaskawie oczekiwać nas za godzinę w katedrze.

– Za godzinę... w katedrze! – westchnęła Gburia-Furia omdlewającym głosem i przycisnąwszy jedną ręką serce, drugą wstydliwie zakryła zwiędłą i szpetną twarz wachlarzem.

– Za godzinę będę najszcześniejszym z ludzi – ciągnął Lulejka patrząc tklawie na zarumienioną Różyczkę.

– O panie mój! Och, majestacie mój królewski! – wykrzyknęła Gburia-Furia. – Więc naprawdę zbliża się ta cudowna chwila...

– Bogu dzięki, zbliża się – odpowiedział król.

– ...ten błogosławiony, upragniony i przez długie lata z tęsknotą oczekiwany moment – mówiła dalej Gburia-Furia – który uczyni mnie najdroższą małżonką twoją, Lulejko! Ach! Ach! Podajcie mi flakonik, słabo mi od zbytku radości i szczęścia!

– Co? Waćpani chcesz zostać moją żoną? – krzyknął Lulejka.

– Jak to, waćpani chcesz poślubić mojego narzeczonego? – zawołała biedna Różyczka.

– Oszałała baba! – wzruszył ramionami Lulejka zwracając się do zebranych gości. Na twarzach ich malowały się najróżniejsze uczucia: rozbawienia, niedowierzania, zaskoczenia, a nade wszystko zdumienia...

– Ciekawam bardzo, kto ma większe ode mnie prawo do króla? – zaskrzeczała groźnie Gburia-Furia. – Mości Kanclerzu Koronny! Wielebna Eminencjo! Oto widzicie przed sobą ufne, kochające, niewinne niewieście serce, które zwiedzione podstępными obietnicami, na wieki oddało się królowi. Czyż wasze wielmożności mogłyby dopuścić, by serce owo zostało zdradzone i porzucone? Oto jest dowód, że król Lulejka zobowiązał się poślubić oddaną mu Kunegundę-Gryzeldę dwojga imiona Gburie-Furie, dowód podpisany przez króla własnoręcznie! Zobaczmy, czy sprawiedliwość istnieje jeszcze w Paflagonii i czy Jego Królewska

Mość ma kroplę uczciwości w żyłach! Bierzcie i czytajcie, dostojni panowie, i orzeknijcie, czy nie mam prawa wołać, że król należy do mnie i tylko do mnie, do Gburii-Furii!

Tu ochmistrzyni szybkim ruchem podsunęła Jego Eminencji tę samą ćwiartkę pergaminu, którą Lulejka podpisał w dzień przybycia Bulby na dwór króla Walorozy, sądząc, iż podpisuje listę na jakąś kwestę dobroczynną. Przypominacie sobie zapewne, że Gburia-Furia miała w kieszeni czarodziejską obrączkę, wyrzuconą przez Angelikę, a Lulejka wypił wówczas, niestety, trochę za dużo szampańskiego wina.

Stary arcybiskup ujął końcami palców podany mu papier i nałożywszy złote okulary na czcigodny swój nos, odczytał głośno: „My, z Bożej łaski jedyny syn i następca nieboszczyka króla Seriozo, władcy państwa paflagońskiego, ślubujemy niniejszym i ręczymy słowem rycerskim pojąć za żonę najmiłszą sercu Naszemu, czcigodną, słodką i cnotliwą Kunegundę-Gryzeldę, dwojga imion hrabinę Gburię-Furię, wdowę po nieboszczyku Antonim Gburiano.”

– Hm! – chrząknął arcybiskup – zawsze to dokument jest dokumentem...

– Bah! – zaprotestował żywo Wielki Kanclerz Koronny – pismo niniejsze nie jest pismem Najjaśniejszego Pana. – (Trzeba wam wiedzieć, że Lulejka poczynił ogromne postępy w kaligrafii na uniwersytecie studentopolitańskim i daleko ładniej pisał teraz aniżeli przed rokiem.)

– Czy to twoje pismo, Lulejko? – odezwała się niespodziewanie Czarna Wróżka i surowy wzrok swój utkwiała w obliczu młodego króla.

– M... m... moje – wyjąkał Lulejka. – Ale nie mogę sobie przypomnieć, żebym kiedykolwiek coś podobnego podpisał na serio. To chyba żart jakiś niewczesny albo podstęp okrutny. Mów, poczwaro, czego żądasz w zamian za ten świstek papieru? Prędzej, sole trzeźwiące! Jej Królewska Mość mdleje!

– Utopić wiedźmę przekłętą!	}	wykrzyknęli jednogłośnie zapalczywy
– Spalić czarownicę!		Paliwoda, wierny Bałagula
– Zadławić tę gadzinę!		i popędliwy marszałek Zerwiłbski.

Ale Gburia-Furia uwiesiła się na szyi arcybiskupa. – Sprawiedliwości! – darła się tak przenikliwie, że głos jej zagłuszał wszystkich. Damy dworu wyniosły zemdloną Różyczkę i odeszły do bocznej komnaty. Trudno wypowiedzieć, jak bolesnym spojrzeniem pożegnał Lulejka swoje ukochanie, swój promyk słoneczny, który teraz zniknął mu z oczu, i jak wzdrygnął się usłyszawszy tuż nad uchem skrzek Gburii-Furii domagającej się „sprawiedliwości”.

– Czy nie zrzekłabyś się, waćpani, tego dokumentu za sumę, którą Mrukiozo skradł memu ojcu? Jest tam około dwustu milionów i coś niecoś drobnymi – powiedział Lulejka.

– Ciebie mieć pragnę i pieniądze twoje! – odparła Gburia-Furia.

– Dodam waćpani jeszcze wszystkie klejnoty królewskie! – wołał Lulejka.

– Ustroję się w nie, by świecić jak gwiazda przy boku mego królewskiego małżonka – odpowiedziała Gburia-Furia.

– Oddam waćpani połowę, trzy czwarte, pięć szóstych i dziewiętnaście dwudziestych mego królestwa! – krzyczał Lulejka w najwyższym podnieceniu.

– Och, czymże mi Europa cała bez ciebie, oblubieńcze mój królewski! – pisnęła stara wiedźma i rzuciwszy się na klęczki przed młodym królem, przywarła zwiędłymi ustami do jego ręki.

– Nigdy, przenigdy nie ożenię się z waćpanią! Raczej wyrzeknę się korony królewskiej! – wołał Lulejka wydzierając dłoń swoją z kościstych palców ochmistrzyni. Ale Gburia-Furia uwiesiła się na niej całym ciężarem.

– Będziemy żyli jak dwa gołąbki – gruchała czule. – Mam własne środki utrzymania, a zresztą z tobą będzie dobrze twojej Gburci nawet w chatce pustelnika.

Lulejka zdawał się tracić zmysły z bezsilnej wściekłości. – Wróżko, Czarna Wróżko, ratuj mnie! – jęknął wyciągając błagalnie dłonie ku matce chrzestnej. – Ja nie chcę! Ja nie mogę poślubić tej poczwary!

– Czyż myślisz, że bez jej przestróg nie potrafię dotrzymać raz danego słowa? Czy sądzi, że nie potrafię stać na straży swego honoru? – odpowiedziała Czarna Wróżka mierząc Lulejkę zimnym, przenikliwym wzrokiem.

Lulejka zadrżał usłyszawszy własne słowa pełne pychy i zarozumiałości. Czuł, że zgubiony jest bez ratunku, skoro wierna jego przyjaciółka i opiekunka odpycha go od siebie. Nie mogąc znieść wyrazu pogardy bijącego z oczu Czarnej Wróżki Lulejka przymknął powieki i bez sił oparł się o ścianę.

– Dostyc! – przemówił wreszcie tak okropnym głosem, że wszyscy obecni się wzdrygnęli. – Eminencjo, Wróżka ta wyniosła mnie na szczyt najwyższego szczęścia, by potem zepchnąć mnie w otchłań rozpacz. Ale nigdy nikt nie będzie mógł powiedzieć, że król Lulejka nie umie dotrzymać danego słowa! Proszę, Eminencjo, śpiesz do katedry! Powstań, hrabino, niech cię do ołtarza powiodę! Żegnaj mi na wieki, Różyczko moja umiłowana! Lulejka twój spełni powinność swoją, a potem zginie!

– Panie mój – pisnęła Gburia-Furia podskakując z uciechy jak podłotek – wiedziałam, że serce twe mnie nie zawiedzie, czułam, że mój wybrany jest człowiekiem honoru, godnym pani swego serca, Kunegundy-Gryzeldy Gburii-Furii. Prędko, wsiadajcie do karoc, dostojne panie i dostojni panowie! Co koń wyskoczy jedźmy do kościoła. Nie mów o śmierci, Lulejko mój, za parę dni zapomnisz o tej zalotnej pokojówce i żyć będziesz dla żonki swojej, dla swojej Gburci-Furci. Kundusia twoja chce być żonką twoją ukochaną, a nie wdową po tobie, drogi mój panie i kochanku!

Bezczelna baba uwiesiła się u ramienia nieszczęsnego Lulejki i podrygując w swojej białej atłasowej sukni, wskoczyła do tej samej karety, która stała w pogotowiu, by Lulejkę i Różyczkę zawieźć do kościoła. W tej chwili zagrzmiały wystrzały z armat i moździerzy, z wieżyc zagrano triumfalne hejnały. Działwa szkolna słała kwiaty pod stopy królewskiej pary. Lulejka siedział nieruchomy jak głaz w głębi złocistej karocy. Za to Gburia-Furia wychylała się raz po raz i kłaniała na wszystkie strony, wyszczerzając w szkaradnym uśmiechu popróchniałe zęby. Wstręt po prostu brał patrzeć na to czupiradło.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASY

### *Wszystko dobre, co się dobrze kończy*

Różne koleje losu, jakie przechodziła od kolebki królowa Różyczka, wyrobiły w niej nadzwyczajny hart duszy i siłę panowania nad sobą. Dzięki cudownej esencji, którą Czarna Wróżka natarła jej skronie, królowa wkrótce otrząsnęła się z omdlenia, ale nie zaczęła szlochać ani włosów rwać na głowie, ani sukien drzeć na strzępy, jak by uczyniło na jej miejscu bardzo wiele dam; o nie – Różyczka pamiętała o tym, że powinna zawsze świecić przykładem męstwa i zaparcia się siebie. Więc choć Lulejka droższy jej był nad życie własne, królowa postanowiła usunąć się, by mu ułatwić spełnienie danej obietnicy. Biedne dziewczę gotowało się pogrzebać własną dolę i szczęście dla ocalenia honoru ukochanego.

– Wiem, że żoną jego zostać mi nie wolno, ale i to wiem, że nigdy nie przestanę go kochać – mówiła do Czarnej Wróżki. – Pośpieszę do katedry, żeby być świadkiem ślubu Lulejki z hrabiną, i z całej duszy złożę im życzenia szczęścia i pomyślności. Potem wrócę do domu, rozejrzę się w skarbach i klejnotach, bo zapewne znajdzie się niejedno, czym bym mogła zrobić przyjemność przyszłej królowej Paflagonii... Pamiętam z lat dziecińczych, że krymtatarskie brylanty ślubne uchodziły za najpiękniejsze w świecie, a ja już nigdy nie włożę ich na siebie. Będę żyć i umrę dziewicą, a gdy uczuję, że koniec mego życia nadchodzi, Lulejce tron i koronę przekażę w puściźnie. Spieszmy teraz na ślub jego, droga Wróżko, bo chciałabym go zobaczyć po raz ostatni. A potem... potem powrócę do swego państwa, w którym pozostanę już na zawsze.

Czarna Wróżka przycisnęła biedne dziewczątko do swojej piersi i ucałowała je z nieopisaną tkliwością, po czym przemieniła laseczkę swoją w czwórkę prześlicznych koni, zaprzężonych do wspaniałego powozu z siedzącym na koźle stangretem, i w dwóch lokai odzianych w piękną liberię. Do powozu tego wsiadła wraz z Różyczką, a za nimi wskoczyli zaproszeni przez Czarną Wróżkę Bulbo i Angelika.

Pocciwy Bulbo był tak wzruszony niespodziewanym nieszczęściem Różyczki, że szlochał jak dziecko, nie mogąc się w żalu utulić.

Różyczkę wzruszył serdecznie ten objaw współczucia zacnego chłopaka, mianowała go więc na oczekaniu wielkim księciem w państwie krymtatarskim i przyrzekła przywrócić mu zdobyte przez Lulejkę prowincje i prywatne dobra króla Padelli.

Czwórka Czarnej Wróżki leciała jak wicher i wkrótce przywiozła weselną gość do Blombodyngi.

W Paflagonii istniał zwyczaj zobowiązujący nowożeńców do podpisania intercyzy ślubnej w obecności dwóch urzędników państwowych jeszcze przed zawarciem ślubu w kościele. Wielki Kanclerz, premier, burmistrz Blombodyngi i pierwsi paflagońscy panowie mieli być świadkami ślubu Lulejki.

Jak wiecie już, kapitan Zerwiłbski kazał przed kilku zaledwie dniami przemałować i odświeżyć pałac królewski. W żaden sposób nie mogła się więc w nim odbyć ceremonia ślubna i trzeba było udać się do zamku, w którym niegdyś mieszkał Walorozo z żoną swoją i małą Angeliką, zanim przywłaszczył sobie tron królewski.

Orszak weselny skierował się więc ku zamkowi. Panowie i panie wysiedli z karoc i powozów i w pozach pełnych szacunku stanęli w dwóch szeregach, tworząc przejście dla pary królewskiej.

Biedna Różyczka wysiadła również i stała bledziutka jak płatek jaśminu, jedną ręką opierając się na ramieniu Bulby, drugą o poręcz schodów. Biedactwo czekało na ukazanie się Lulejki, by ostatnim pożegnać go spojrzeniem.

Czarna Wróżka, niezbadaną jak zwykle mocą, wymknęła się przez okienko karocy i przeleciawszy ponad wszystkimi, stała już u drzwi wejściowych w chwili, gdy Lulejka, błądy, jakby szedł na stracenie, zaczął wstępować na schody z uwieszoną u jego ramienia siwowłosą panną młodą, hrabiną Gburia-Furią. Lulejka spojrział ponuro na stojącą przed nim Czarną Wróżkę; był do głębi na nią rozżalony i nie mógł jej darować, że jeszcze w tej chwili przyszła szydzić z jego niedoli.

– Precz z drogi! – zawołała Gburia-Furia mierząc pogardliwym spojrzeniem Czarną Wróżkę. – Szczególniejsze zamiłowanie masz, waćpani, do wtykania swego nosa tam, gdzie nikt cię o to nie prosi.

– Czy trwasz w zamiarze poślubienia tego nieszczęśliwego młodzieńca? – zapytała Czarna Wróżka.

– Czy trwam? A to mi doskonale! Pewnie, że trwam, a waćpani nic do tego! Wypraszam sobie, żebyś waćpani mówiła do królowej Paflagonii „ty”, jak do jakiej pierwszej lepszej...

– Nie chcesz przyjąć pieniędzy w zamian za zrzeczenie się praw do niego?

– Nie.

– Nie chcesz go zwolnić z przyrzeczenia, choć wiesz dobrze, że oszukałaś go dając mu je do podpisania?

– Ha, bezwstydna! Hej, służba! Wyrzucić precz tę zuchwałą babę! – wrzasnęła rozwścieczona Gburia-Furia. Na jej skinienie dwóch pacholków skoczyło, by spełnić rozkaz, ale jeden ruch czarnoksięskiej laseczki odrzucił ich daleko i unieruchomił, jakby zamienili się w figury kamienne.

– Więc nie przyjmiesz żadnego odszkodowania, Gburio-Furio, i nie zwrócisz Lulejce sfałszowanego dokumentu? – wykrzyknęła z nie opisaną mocą Czarna Wróżka. – Strzeż się, bo pytam po raz ostatni!

– Nie zwrócę! – zaskrzeczała Gburia-Furia tupiąc nogami z wściekłości. – Nie zwrócę! Nie chcę pieniędzy, tylko męża! Męża! Męża!

– Więc ja ci zwracam twojego męża! – wykrzyknęła Czarna Wróżka i postąpiwszy o krok, położyła prawą dłoń na nosie metalowej rączki od dzwonka, mówiąc:

Hej, Gburiano! Woła żonka,  
Wstań i wracaj do przedsionka!

I – o dziwo! Pod dotknięciem Czarnej Wróżki mosiężny nos rączki zaczął wydłużać się i pęcznić, szeroka gęba rozwarła się jeszcze szerzej i nagle wydała tak potężny ryk, że wszyscy wstrząsnęli się z przestachu. Oczy łypały na prawo i lewo jak żywe, cienkimi rączkami i nóżkami wstrząsał raz po raz skurcz i w oczach obecnych zamieniły się one w grube łydki i ogromne, niezgrabne łapy ludzkie. Jeszcze chwila, a rączka od dzwonka nabrzmiała aż do rozmiarów olbrzymiego sługusa, odzianego w żółtą liberię, a mającego najmniej sześć stóp wzrostu. Śruby, którymi rączka od dzwonka była przymocowana, z brzękiem padły na kamienne schody i Antoni Gburiano, odczarowany nareszcie po przeszło dwudziestu latach ciężkiej pokuty, ukazał się na progu zamku we własnej swej okazałej osobie.

– Jaśnie państwa nie ma w domu! – huknął jak przed dwudziestu laty tubalnym, gburowatym głosem.



Na widok zmartwychwstałego niespodziewanie małżonka hrabina Gburia-Furia zacharczała okropnie: „A-a-ach!...”, i padła zemdlona na ziemię. Ale nikt się nie troszczył o nią, bo wszystkich ogarnął szal radości; słyhać było tylko okrzyki: „Wiwat! Niech żyją!”, „Niech żyją król i królowa Różyczka!”, „Wiwat! Niech żyje Czarna Wróżka!”, „Nie, to było cudowne!”, „Jak żyję, nic podobnego nie widziałem!”, „Wiwat! Wiwat! Wiwat!”

Wszystkie dzwony biły, strzelano ze wszystkich armat i moździerzy, uciecha była, że aż ha!

Bulbo ścisnął każdego, kto mu się nawinął pod rękę. Wielki Kanclerz wyrzucał w górę perukę swoją, upudrowaną odświętnie, i wyskakiwał, jakby mu piątej klepki brakowało. Książę Zerwiłbski chwycił wpół Jego Eminencję arcybiskupa i z wielkiej radości wywijał z nim dziarskiego oberka. A Lulejka? Domyślcie się sami, co czynił: porwał w ramiona Różyczkę i pocałował ją nie jeden, dwa, pięć, dziesięć, ale może z dziesięć tysięcy razy! Wiercie mi jednak, że nikt mu tego nie wziął za złe.

Jeszcze chwila – i pochylony w kornym ukłonie Antoni Gburiano rozwarł, jak przed dwudziestu laty, drzwi przed królewską parą, i wszyscy weszli do zamku, gdzie spisano intercyzę ślubną, a potem udali się do kościoła, gdzie odbył się uroczysty ślub króla paflagońskiego Lulejki z królewną krymtatarską Różyczką. A potem Czarna Wróżka uniosła się na czarno-księskiej laseczce ponad obłoki i nigdy już nie ujrzano jej w Paflagonii.

## SPIS RZECZY

Rozdział pierwszy, w którym jest pięknie opowiedziane, jak dostojna rodzina królewska zabawiała się przy śniadaniu

Rozdział drugi. Jak księżę Lulejka nie dostał nic, a Walorozo koronę

Rozdział trzeci, który zaznajamia czytelnika z Czarną Wrózką i z wieloma innymi wielkimi osobistościami

Rozdział czwarty. Jak to nie zaproszono Czarnej Wróżki na chrzest Angeliki i kto na tym wyszedł najgorzej

Rozdział piąty. Jak wielki fraucymer księżniczki Angeliki powiększył się o jedną maleńką osobkę

Rozdział szósty. O tym, jak się wiodło królewskiej latorośli księżątka Lulejce na dworze króla Walorozy

Rozdział siódmy, w którym pyszna Angelika po sprzeczce z Lulejką traci pierścień zaręczynowy

Rozdział ósmy. O niepojętej przemianie Gburii-Furii i przybyciu księcia Bulby na królewski dwór Paflagonii

Rozdział dziewiąty. Szkandela Rózi i potężne jej działanie

Rozdział dziesiąty. Król Walorozo sroży się

Rozdział jedenasty. Zemsta hrabiny Gburii-Furii

Rozdział dwunasty. Rózia idzie w świat

Rozdział trzynasty. Królowna przybywa do zamku Brodacza Pancernego

Rozdział czternasty. Przygody księcia Lulejki

Rozdział piętnasty. Zły król Padella sroży się

Rozdział szesnasty. Kapitan Zerwiłębski powraca do króla Lulejki

Rozdział siedemnasty. Jak się rozegrała straszliwa bitwa i kto w niej zwyciężył

Rozdział osiemnasty. Stara Gburia-Furia – panną młodą

Rozdział dziewiętnasty. Wszystko dobre, co się dobrze kończy

William Makepeace Thackeray, jeden z największych realistów krytycznych w literaturze angielskiej dziewiętnastego wieku, żył krótko (1811–1863), stosunkowo późno też, bo dopiero pod czterdziestkę, zaczął pisać. W piętnastoletnim okresie jego działalności twórczej powstały wielkie, od lat cieszące się popularnością na całym świecie powieści, jak *Targowisko próżności*, *Dzieje Pendennisa*, *Historia Henryka Esmonda* czy *Rodzina Newcome'ów*.

Wśród nich miejsce specjalne zajmuje baśń dla dorosłych i dzieci, opatrzona własnymi rysunkami Thackeraya, baśń o cudownym działaniu zaczarowanego pierścienia i róży, które swych posiadaczy czynią w oczach innych pięknymi i godnymi miłości. W miarę jak pierścień i róża zmieniają właścicieli, akcja się komplikuje, komizm przeplata się z grozą, a czytelnik poznaje niezapomnianą galerię postaci, ze wszystkimi ich zaletami i przywarami.